

P R E N T I C E M U L F O R D

MOC DUCHA



TRZASKA, EVERT I MICHALSKI
WARSZAWA, GMACH HOTELU EUROPEJSKIEGO

01201

MOC DUCHA

01261

PRENTICE MULFORD

MOC DUCHA

TEGOŻ AUTORA:

PRZECIW ŚMIERCI
MOC ŻYCIA

PRZEŁOŻYŁ

STEFAN MNIESKI



TRZASKA, EVERT I MICHALSKI
WARSZAWA, GMACH HOTELU EUROPEJSKIEGO

BIBLIOTEKA
PARAFIA P.W. NSJ
RADOM-GLINICE

Wychowanie, Pedagogika

17: 159.9: 21: 37.03

110

WSZELKIE PRAWA ZASTRZEŻONE

DRUKARNIA NARODOWA W KRAKOWIE, WOLSKA 19

OD TŁUMACZA

Podobnie, jak głośne dzieło „Przeciw śmierci“, książka niniejsza składa się ze szkiców wybranych Prentice'a Mulforda.

Każdy z tych szkiców stanowi odrębną całość w sobie; zebrane razem, dają one dziełko równie, jak tamto, zajmujące i szlachetną tendencjążywione.

Nawet dla tych, którzy częściowo albo wcale nie podzielają metafizycznych poglądów autora, stanowić ono może — i z pewnością stanowić będzie — lekturę wysoce interesującą ze względu na zdrową i jędrną, amerykańską psychologję życiową, którą oddycha, lub wreszcie choćby jako pewien wielce znamienity i typowy dokument epoki — *signum temporis nostri*.

A dla metafizycznych współwyznawców Mulforda będzie to, nie wątpimy, dar iście królewski — ta książka o „Wielkim Duchowym Oceanie“, którym żyjemy zewsząd otoczeni, a z którego gdy się korzystać nauczymy, wówczas wszyscy, nawet po-

P 1 / 2014

zornie mało zdolni, twórczymi i szczęśliwymi będą mogli zostać przez tę „przyciągającą siłę ducha“, którą z takim zapalem, tak barwnie i żywo głosi w tych szkicach Mulford.

KŁAMSTWO — ŹRÓDŁEM NIESZCZĘŚCIA, PRAWDA DARZY ZDROWIEM

Myśl — to najistotniejsza cecha człowieczeństwa — nieprzeniknioną dla nas stanowi tajemnicę: nie wiemy, kim właściwie jest ten ktoś w nas, kto myśli.

Lichtenberg — fizyk i myśliciel niemiecki XVIII-go wieku — zamiast „ja myślę“, proponował mówić „myśli się“, podobnie jak „błyska się“, „grzmi“, „pada“: coś myśli w nas i przez nas. W rzeczy samej, czyż wszystko na świecie nie o tyle jedynie istnieje, o ile w Nieskończonej ma udział Świadomości?

To zaś, w jaki sposób dana rzecz w Świadomości owej uczestniczy, decyduje o tem, czy jest ona dla nas słońcem lub planetą, kwiatem albo skałą, żubrem lub człowiekiem. Wszystko ostatecznie stanowi tylko jakiś ukształt tego wielkiego „Myśli się“ — Nieskończonej Świadomości — Ducha.

Wprowadzić do uporządkowanego wszechświata — do Kosmosu — rzeczy całkowicie od Boga opuszczone udało się doprawdy dopiero człowiekowi, a to dzięki tym twórcom martwo

narodzonym, które nazywa on swemi „dobrami“, jako na ten przykład: gipsowe figuryнки, sztuczne wkładki z fałszywych włosów, rzeźbione nogi fortepianów, „ozdobne“ kielichy na pamiątkę konfirmacji i tym podobne „dzieła“. Potworności te po to jedynie produkują, aby je zbyć coprędzej; miliony ludzi uprawiają niemi rodzaj nieokiełznanej, dzikiej zabawy w fanty: dokoła kuli ziemskiej — byle prędko, prędkiej — z zyskiem — z ręki do ręki — i z tą sadystyczną pointe'ą na końcu: jakież nieszczęsny głupiec zostanie ostatecznie z takim fantem w rękę?

Ale po za tem wszystko ożywia Prajednaki Duch w sposób godny życia — wszystko osiągnąć może wszelką — w swoim rodzaju — doskonałość.

Życie i Duch są przytem nawet i w tych rzeczach, które pospolicie „umarłemi“ zwiemy; pojęcie bowiem śmierci istnieje tylko i wyłącznie w mózgu ludzkim i nigdzie poza nim; a pochodzi ono z niezdolności człowieka do wyjścia spojrzeniem po za kres cielesnego owego wyrazu praźródła wszystkiego — Nieskończonej Świadomości.

Drzewo, które przestaje wypuszczać listowia i nie podtrzymuje w pniu krążenia soków, nazywa człowiek „martwym“. Lecz ruch, tchnienie ducha i życie wciąż jeszcze w tem drzewie istnieją — narazie tylko cicho, zwolna je rozkładając (co w języku ludzkim nazywa się gniciem) — i w ten sposób

przekształca się pozornie martwe na nową myśl boską. Albowiem niekiedy w najwspanialszym nawet dębie, najtęższem zwierzęciu, najognistszym cherubie przytrafia się Bóstwu popełnić *lapsus linguae*: chciało Ono z pewnością powiedzieć przez nie jeszcze coś wiele piękniejszego, miłszego i, bardziej darzącego szczęściem — lecz i tym razem znowu nie pozwolono Mu się do końca wypowiedzieć. Dać się wyrazić Bogu oznacza doskonałość!

Każda wolna istota żywa ma wcielać w sobie pewną odrębną i w swym rodzaju jedyną formę szczęścia, polegającą nie na czem innem, jak tylko na istoty tej autentyczności albo inaczej rzetelności, prawdzie. Wszelkie odchylenie się w stronę pozornie dla niej korzystnego kłamstwa musi koniec końców pociągnąć za sobą w ostatecznym wyniku pomniejszenie szczęścia.

I otóż wyobrażanie sobie, że śmierć jest czemś naprawdę — to pierwsze wielkie kłamstwo!

Dziki, potężny dąb stanowi błysk prawdy, z Nieskończonej Świadomości, i podobnie wszelkie stworzenie — ptak, ryba, drzewo czy wodorost — są planowym i pełnym symetrii wyrazem pewnej siły, której człowiek zarówno nie umie wyprodukować ani nawet pojąć, jak nie jest zdolny stworzyć sa-

mego siebie. Siła ta, wsparta o współdziałanie świata otaczającego, świata wewnętrznego i świata działawczego, stwarza sobie w wolnym zwierzęciu i roślinie nowy wyraz szczęścia. Wszystkie istoty dziko żyjące znajdują pewnego rodzaju błogostan w przyrodzonych sobie warunkach bytowania, ponieważ są one rzetelnymi i autentycznymi formami wcieleń tego wielkiego i nieznanego Czegoś, co nazywamy tutaj, w braku lepszego wyrazu, Nieskończoną Świadomością. Ta zaś okoliczność, że prawie żadne zwierzę na wolności nie umiera naturalną śmiercią na uwiad starczy, argumentu na rzecz przeciwniej tezy nie stanowi zgoła. W obłądnej, radością drżącej ekstazie miłosnego krzyku, który w brzasku porannym samotnie wzlatuje z gardzieli wspaniałego ptaka po nad wierzchołki jodeł, aby „ją“ — nieznajomą ku sobie przywołać — to, że ptak ten, właśnie tak ukształtowany i tak wzruszeniem drżący, w tem miejscu wołać może — w tem są jego życia i prawda i szczęście — zupełnie tak samo, jak dla dzikiego kota są one w jego prężnym, niezrównanym skoku, który dając, ten demon okrutnego wdzięku przegryza ptakowi triumf

okrzykujące gardło. Tak, lecz gdzie są ta prawda i ten wdzięk, gdy człowiek piwem podlega w knajpie tłuszczy, który żeń zwisa?... Wyraz jego twarzy w podejrzanym sposobie przypomina wówczas to potworne stworzenie, w które zwyrodniająca jego hodowla przekształciła z piekielną złośliwością czystego, rączego i dzielnego dzika, w które tego dzika poprostu uświniła... świnią bowiem — to dzieło i zbrodnia człowieka — najoczywistszy dowód, w co się obraca „prawda“, gdy on się do niej weźmie, aby ją „ulepszyć“ z punktu widzenia tępej swej perspektywy brzucha. Nie to bowiem szkodliwe jest, a więc i grzeszne, że człowiek żyje mięsem zabijanych przez się zwierząt — cóż znaczy krew przełana wobec krwi zubożonej, zamienionej w ropę, zdeprawowanej w żółć, albo na lód stężałęj? Koniec — to jedna chwila; nie to, jaką śmierć była, lecz jakim było życie, jest rzeczą istotną. Dlatego też mówimy, że grzeszy przeciwko Nieskończonej Świadomości człowiek, gdy — mniejsza o to, czem powodowany — „postęp“ widzi w faktach, będących jedynie dowodem zwyrodnienia: oto silne, rącze i czyste stworzenie przekształca się w brudny, padłem żywiący się kłab mięsa, ważący setki funtów, a on, człowiek daje temu potworowi złoty medal za to, że słabe nogi już go udźwignąć nie mogą.

Świnia jest kłamstwem ludzkim i, jak wszelkie kłamstwo, musi się wreszcie na kłamiącym zemścić.

Proporcjonalna, mocna, o silnych skrzydłach dzika gęś, sama siebie wyżywić umiejąca, jest prawdą — stanowi jedną z niezliczonych form, w których się wyraża Nieskończona Świadomość, rodząca moc i szczęście. Przelewająca się z boku na bok, bezradna, niezdolna do lotu, chora na wątrobę gęś tuczona jest resztką, która zostaje z prawdy, gdy się jej dotknie człowiek. Wolność, siła i szczęście leżą w całkowitym rozwoju instynktu, a instynkt — to wewnętrzne poczucie jedności z rzeczami tego świata. Najwyższa mądrość i Prawda przez instynkt właśnie oddziałują bezpośrednio na każdą poszczególną postać Nieskończonego, i nie co innego, tylko on właśnie — wszędzie tam, gdzie może rozwijać się swobodnie — darzy ją największym szczęściem, czyli poczuciem, że jest sama sobą.

Gdy człowiek zuchwale sam sobie pozwala na eksperymenty z takim właśnie wcieleniem Nieskończonej Świadomości, to pozbawia je szczęścia, dla którego zostało ono do istnienia powołane, i odwołuje na chwilę Wiekuistą Prawdę od jej właściwego celu. Albowiem kłamstwo jest prawdą, która została sprowadzona z drogi do istotnego celu swego.

Takie zbłądzenie prawdy na manowiec może oczywiście trwać zaledwie chwilę, bo Nieskończona Siła kroczy wciąż przed siebie i samowolę ludzką usuwa nabok z drogi. Wszak musi ona w końcu zamiary swe osiągnąć, i nie przez człowieka sztucznie zdeprawowane, skażone, zniekształcone — nie wyłączając jego samego — nie zdoła koniec końców ująć przeznaczenia swego i będzie musiało stać się wreszcie czystym i nieskazitelnym wyrazem Tego, co Nieskończone.

Osiąganie większej naturalności nie oznacza bynajmniej powrotu do pierwotnego barbarzyństwa, lecz wręcz przeciwnie, jest wysubtelnieniem w granicach natury; gdy tymczasem to wszystko, cośmy dotychczas cywilizacją nazywali, była to jedynie dzikość pierwotna, która stała się sztucznością; a takie sztucznie podtrzymywane barbarzyństwo jest już dziś niemożliwe wobec tego poziomu, któryśmy osiągnęli. Nie człowiek — Nieskończona Świadomość doprowadziła tę naszą planetę razem z nami od stanu mgławicy i chaosu do jej obecnego wykwintu i kultury, i Świadomość ta kroczy w tym samym kierunku drogami tak różnemi, iż w swej różnorodności wymykają się one naszemu pojmowaniu, a wiodą

wszystkie wzwyż, ku doskonałości i uduchowieniu, które i człowieka czyni bardziej łagodnym, szlachetnym i subtelnym. Ruskin mówi podobnie: „Ten obojętny spokój oraz ta gotowość, z którymi wszyscy zgadzamy się na to, że coś, dla tego, iż długo było inne, niżby być powinno, nigdy się już widocznie na lepsze zmienić nie da — oto jedno z najgorszych źródeł nędzy i zbrodni, które ten świat nękają“. Jeśli ci ktoś odradza wysiłków ku dobremu z tej rzekomej racji, że doskonałość jest tylko „u t o p j ą“, strzeż się tego człowieka — „u t o p j a“ to jedno z najulubieńszych słówek Złego Ducha.

Nieskończona Świadomość, wszechogarniające „Myśli się“, wytrwale stoi przy swym zamiarze obdarzania szczęściem wszystkiego, co istnieje, i wyjątku nie czyni żadnego, dla nikogo. Im więcej elementarnej siły, im więcej czystego poczucia istnienia i osobowości wolnych zwierząt i ptaków spływa do Oceanu Ducha, tem więcej też tej mocy ma do wchłaniania człowiek i będzie w siebie wchłaniał. W przyszłych szczęśliwych czasach, kiedy już się może nauczyć nareszcie zostawiać w spokoju takie naturalne wcielenia praducha, kiedy poniecha już swych prób dzisiejszych zmieniania ich prawdy w nieczne i sztuczne kłamstwa, wtedy osiągnie rzeczywiście zdolność do życia kosztem

ich fluidu i poczucia szczęścia, które wówczas i jego radością darzyć będą. Ocean Ducha zgęstnieje dostatecznie wskutek emanacyj wszystkich tych silnych i promiennych stworzeń, aby sam jeden zdołał udźwignąć człowieka i wszelkie jego cielesne potrzeby. Stanie się dla ludzi eliksirem życia, źródłem prawdziwej siły, wskaże im możliwości, jak żyć, nie zabijając zwierząt ni ryb ni ptaków; a może nawet podda im skuteczny sposób, aby nie zniekształcali sztucznie hodowanych roślin.

Fluid, wysyłany przez istotę nieznieskształconą, odczuwają wszystkie inne; wpływa on do wspólnego psychicznego rezerwoaru, którego zarząd jest komunistyczny. Całość stworzenia winna być przesycona unoszącem się w przestworzach szczęściem duchowości; a ma to być nie orgja, nie jakiś szal — broń Boże! — raczej tylko bez przerwy przepływać będzie przez nas łagodny, chociaż silny, cudownie uorganizowany prąd błogiego podniecenia. Wszelkie samowolne zamachy na istoty żywe — więzienie ich lub kaleczenie ich symetryczności, zakłócanie harmonji ich kształtów i funkcji — zatrzymują na chwilę ich i nasz wieczny pochód ku tej szczęśliwości. Krzywda, którą wyrządzamy innym, w jakiś sposób zawsze na nas samych się odbija, to wszystko bowiem, co daje się komukolwiek odczuć, jest też wszystkim wspólne. Opuszczając długie, nużące i nudne wywody przeji-

ściowe, w formie paradoksalnie stylizowanego stenogramu myśli możnaby tak powiedzieć: Dla tego właśnie, że ludzie tuczą gęsi, to muszą jeździć do Karlowych Warów. Gdyby zwierzęta umiały radować się złościwie z cudzego nieszczęścia, to świnia, gęś, wół i indyk znalazłyby przynajmniej częściowe dla siebie zadośćuczynienie za swe ciężkie krzywdy, widząc imponującą statystykę chorób przemiany materji, popsute uzębienia, nadmiar kwasu moczowego i te miłe kryształki przeróżnych szczawianów, w które się zamienia ich zwyrodniałe mięso w ciałach bezwstydných gwałcicieli. I jeszcze tylko konie — one jedne dotąd pomszczone nie zostały przez żadne w tym rodzaju cierpienia ich władców. Lecz i to z czasem przyjdzie: jakaś bezprzykładna chłosta kuracyjna nędzy i udręki musi człowieka spotkać; bo w jakiejś postaci wraca do nas każde zadane cierpienie, jakiś ból zawsze w końcu dotkliwie nam przypomni, żeśmy zboczyli z drogi prądów prawdziwej myśli. A próbę na prawdziwość w myślach uczynić łatwo: myśli prawdziwe, przepływając przez nas, z samej natury swojej zostawiają w nas zawsze wrażenie długotrwałego szczęścia. Oznaką zaś kłamstwa, które się w nas zalega i przez nas w świat

idzie, chwilowo tam działając, jest zawsze ból, cierpienie w jakiegokolwiek formie. Głęboko i poważnie pragnąc prawdziwych myśli — to wchodzić w styczność lub „osiągać jedność“ z Nieskończoną Świadomością, co ze swej strony znaczy: coraz jaśniej i wyraźniej uczyć się poznawać cele, tudzież drogi, wiodące do trwałego szczęścia.

W niewielkiej, jak dotąd, mierze, ale już umiemy czynić dla siebie źródłem radości krajobrazy, morza, chmury, lasy; wszyscy poeci wszystkich ludów intuicyjnie czynią to już oddawna i, otaczając sympatją i miłością wielkie Życie świata, natchnienie z niego czerpią, jak wodę ze źródła. Ale jednak dopiero rozpoczynamy dzisiaj pić z tych darzących życiem krynic. A jak wiele nam musi dać to do myślenia, że np. w Japonji, gdzie kult dla krajobrazu i zapamiętałe, ekstatyczne pogrążanie się w kontemplacji widoków natury są przyrodzone wszystkim — czyni to każde dziecko, każdy biedak, prostak, jako rzecz tak samą przez się zrozumiałą i bezwiedną, jak obieg krwi lub oddech — że tam, cały naród, jedząc niesłuchanie mało, nie ma jednak równego sobie pod względem zdrowia, sił fizycznych, wesołości oraz uprzejmości. Widok kwitnących drzew wiśniowych, choć kwiatów jeść nie można, więcej się bodaj przyczynił do zdrowia całego narodu, niż wszystkie razem wzięte zbiory

ryżu. Japończyk żyje nie tylko wśród natury, ale i nią, naturą, bo przecież człowiek, jako odbiornik rozmiarami większy i wrażliwszy, skoro się raz już szczęśliwie nastawi na długość fali Nieskończonego Nadawcy, z natury rzeczy więcej z Niego dla siebie i lepiej chwycić musi, niż zdoła to uczynić drzewo, ptak czy zwierzę. A przytem człowiek zawsze wyraźniej czuć będzie, że Coś rzeczywistego, Coś w wyżynach nad nim działającego, w dbałości swej o niego, zabiega uporczywie, aby go, całkowicie w szczęście spowitego, dźwigać wyżej i wyżej; a ów Najwyższy Czynniki będzie mu wciąż odnowa w sercu uszeptował: „Tobie żadnych nowych prawd tworzyć nie dano — tę moc mam ja jedynie. Przyjmij więc z rąk mych prawdy, jakie ci daję, a wprawiać cię będą w zachwyt, przechodzący całą dzisiejszą twoją możliwość pojmowania. Obecny twój tryb życia — kosztem kalectwa i cierpienia innych — twe wynalazki, twe maszyny, cały ten twój bystry t. zw. rozumek i cała cywilizacja twoja są w rezultacie jedną wielką kompromitacją. Zawiodły cię one, albowiem nie zdołały dać ci tego jednego, czego wyłącznie szukasz i pragniesz: s z c z ę ś c i a. Poniżyłeś się oto do takiego stopnia, że wegetujesz po miastach, bez gwiazd i bez powietrza; twe metody chodzenia

około spraw swoich doprowadzają ludzi do obłądki z przemęczonego podniecenia; nerwy najlepszych twoich synów posłuszeństwo w pół drogi życia im wymawiają. Usiłujesz oto żyć wyłącznie kłamstwem — kłamstwo kupować i kłamstwo sprzedawać — kłamstwa tworzyć i z kłamstw się utrzymywać; ale one przynoszą ci tylko cierpienie.

A przytem nieprawda ostać się nie może. Nie może ona wiecznie rodzić krzywd i nędzy i w krzywdach i nędzy pograżać zwierzęta, rośliny i ludzi. W miarę tego, jak „ulepszamy“ i „uszlachetniamy“ wszystko, wzrasta też i opór przeciw tej „dobroczynej“ działalności naszej. Choroby, tudzież objawy zwyrodnienia występują u niekształconych przez hodowlę zwierząt. Nowe, zgoła dotąd nieznane szkodniki-pasorzyty zaczynają zagrażać naszym zasiewom i zbiorom. Człowiek zwyrodniały musi dziś stosować jedne i te same trujące zastrzyki i przemywania zarówno do siebie, jak i do stworzeń sztucznie przez siebie hodowanych, albowiem kłamstwo tę posiada własność, że wymaga od nas, aby je nieustannie troskliwie podtrzymywać i czule zabiegać koło niego; w przeciwnym razie — czeźnienie. Każda zmyślona i wypowiedziana nieprawda musi być także przez drugą podparta, a ta druga przez trzecią, przez czwartą, itd. Za każdą zaś nową kłamliwą podpórką nasze położenie staje się

chwiejniejsze i coraz uciążliwsze. W naturze natomiast wszelkiej prawdy leży, że wystarcza ona sama sobie i sama przez się utrzymać się może. Zwierzęta na wolności mogą się same ostać, nie potrzebując pomocy od nikogo; są to bowiem ukształty rzetelne i w odpowiednim dla się — czyli do r ó w n a n e m — żyją ś r o d o w i s k u.

W miarę tego, jak sami będziemy się stawali wolniejsi, prawdziwsi, subtelniejsi, prawo to coraz wyraźniej ujawniać się będzie i w zastosowaniu do naszego życia. Zdobądźmyż się przeto raz wreszcie na odwagę i zaufajmy całkowicie temu bezgranicznemu oceanowi mocy, temu Nieskończonemu Czemuś, co pomimo naszego stawiania mu się sztorcem, mimo niepoczytalnych naszych sprzeciwów i ciągłych zboczeń z właściwej drogi nigdy nie odstępował od swego zamiaru, aby z nas czynić nie jakieś pokraki i poronione płody, ale żywe prawdy, a stanie nam się wszystko, co możebne; otworzą się przed nami nowe drogi; wystąpią nieprzeczuwane dotąd możliwości; wszystko, co niedozwolne dla naszego szczęścia, przyjdzie do nas — przyjąć musi, podobnie jak światło i woda do rośliny.

Albowiem my ludzie nie jesteśmy twórcami prawdziwych myśli, jeno ich czerpaczami z nieskończonego

zbiornika duchowego; od nas samych zawisło, abyśmy nie czem innem stali się, tylko naczyniem dobrze ukształtowanym i szeroko rozwartem na przyjęcie prawdy, a zresztą we wszystkim jej się z ufnością powierzyli. Myśli prawdziwe nie pozwolą nam pędzić życia biernego, próżniaczego; ich wynikiem w nas będzie jakiś nowy rodzaj szczęśliwej działalności w dziedzinie muzyki, sztuk plastycznych, interesów czy też wynalazków — są tysiące rodzajów takiej działalności, dziś jeszcze nam nieznanych.

O co więc chodzi?

O to, by zawsze być gotowym na przyjęcie nowotworzącego się w nas i przez nas czystego instynktu, który następnie, przybierając za każdym razem odcień właściwy naszej indywidualności, płynie z nas z powrotem do Oceanu Ducha, jak śpiew z piersi ptaka. O to, abyśmy przeniknięci byli tym śpiewem instynktów aż do samego rdzenia drżącej od jego brzmień istoty naszej. Wszakże to nasz przywilej, że dzięki wyższej swej organizacji lepiej potrafimy, niż zwierzę i roślina, korzystać z prądów sił w Oceanie Ducha, — że potężniejsze i szybsze wyniki w zdobywaniu szczęścia osiągnąć potrafimy. Wszelkie bowiem stworzenie składa się z myśli, które zdoła, — od wewnątrz budując samo siebie, — twórczo w siebie wchłonać i we własny organizm przetworzyć. Jakość życzeń i dą-

zeń naszych kształtuje nam ciała. Aspiracje nasze określają rodzaj i unerwienie każdej komórki naszego ustroju. Lecz wchłonać w siebie trwale i nastale można tylko prawdę — kłamstwa z biegiem czasu trzeba wydzielić z powrotem. Wszystkie trawiące nas choroby, troski, bóle i niepokoje, są to wysiłki ducha, który chce się pozbyć czegoś zakłamanego w nas i wadliwego, co nakształt mikrobów w ciele się naszym zagnieździło.

Prawdopodobnie jednak w tych usiłowaniach nie znamy zupełnie tego właśnie kłamstwa i tego błędu, które są w nas powodem danego cierpienia — wszak w ich atmosferze niemal wyłącznie żyjemy i one są dla nas w mniejszym czy większym stopniu artykułami wiary. Odkryć je przeto, wyodrębnić od siebie i rozpatrzyć każde oddzielnie, jest zadaniem, którego spełnienie za jednym zamachem przekracza nasze siły. Ale już w miarę tego, jak do prawdy dążyć zaczynamy, i ona też staje się zdolna zstępować ku nam i, odpowiednio do jej stopniowego wzrostu, błędy z nas ustępują. A na ich miejscu nowe pierwiastki myśli tworzą w nas nowe, delikatniejsze ciało i krew czystsza. Ból cielesny czy duchowy — to sygnał ostrzegawczy, że coś fałszywego usiłuje zagnieździć się na stałe w wiecznej istocie naszej; wszelako wielki bezwiedny Budowniczy dyskwalifi-

fikuje i odrzuca materiał o mniejszej wartości.

Byłoby z naszej strony ogromnym krokiem naprzód, gdybyśmy zdołali wymóc na sobie chociaż tyle, aby na początek przynajmniej tolerować prawdę, jeżeli nie możemy odrazu w nią uwierzyć, zważywszy, że za bardzo wychodzi po za ramy naszego zwykłego kłamstwa życiowego. Może mamy już dla niej jakąś sympatię — może, pragniemy wiary; pamiętajmyż, że wiara oznacza przede wszystkim zgodę na to, aby coś w nas się rozwinęło całkowicie, niczem niekrępowane, by działało swobodnie i bez reszty wszystkie cele swe osiągnęło; aby w stosunku do rozwoju nie było w nas żadnych niedowierzających pytań ni wątpliwości, ale przeciwnie, atmosfera tak głębokiego zaufania, jak to, którem żeglarz darzy swoje mapy, kompas i chronometr. Rzecz prosta, że tego rodzaju sytuacja duchowa zda się nieomal niemożliwa wprzód, nim jakaś prawda już w nas się wcieliła i stała częścią naszego ustroju. Gdy prawdziwe myśli o doskonałym zdrowiu, o wiecznej odnowie i cielesnej nieśmiertelności już w krew nam wejdą i mózg ukształtują, rodzą w nas one przez to przymus wiary, przymus doskonałego zdrowia, stałej odnowy ciała, a więc nieśmiertelności. Gdy zaś raz już w ten sposób rozpoczną w nas działać, wtedy przestajemy zajmować się nadal i dręczyć pyta-

niem, jakże to jest możliwe, abyśmy w nie wierzyli — zupełnie tak samo, jak nie stanowi to dla nas żadnej kwestji wiary, iż żołądek nasz trawi naprawdę pokarm. I ta zrozumiałość takiej wiary samej przez się jest siłą, jest poprostu częstką narządów ciała — wiedzą, co stała się instynktem. Wszak myśl — to siła żywa, w ruch wprawiająca ciało — to rzeczywistość dość potężna, aby w końcu zawsze znaleźć dla siebie swój własny i odrębny wyraz w jakimś nowym cielesnym kształcie, albo przynajmniej działać poprzez dotychczasowe kształty. Kto zechce, może za cud to uważać; a jednak jest to tylko wynik działania prawa, którego ledwie pierwsze niejasne kontury intuicyjnie dzisiaj dostrzegać zaczynamy.

Im więcej elementów prawdy duch w siebie wchłania i na swój kształt przetwarza, tem czulszy staje się na wszystko nierzetelne, nieprawdziwe, nieautentyczne, albowiem nierzetelność jest imitacją prawdy, jest jej podrabianiem, a więc czemś jeszcze gorszem i szkodliwszem, niż otwarte kłamstwo. A ustrój, który nawskróś rzetelnym stał się, zdolny jest też dzięki temu o wiele prędzej wydalać ze siebie wszystko nieprawdziwe — podobnie, jak zdrowy żołądek i smak poprostu odmawiają przyjmowania pokarmu nieodpowiedniego i nie próbują nawet przyswajając go sobie. Lecząc wła-

śnie ten przewrót, ta odnowa całej istoty naszej, ten oczyszczony instynkt mogą być dla ustroju przez pewien czas źródłem wzmożonych zakłóceń i dolegliwości fizycznych, gdyż rozbudzony i wsparty przez prawdę duch pracuje teraz namiętnie bez chwili spoczynku nad wyzbyciem się tego, co może w ciągu całych pokoleń hodował i żywił bezwiednie.

Powód przeto, dla którego nie należy kłamać, nie jest bynajmniej aż tak znów odpychającą „moralnej“ natury; prawdą być trzeba poprostu dlatego, aby unikać chorób, trosk i nieszczęść; albowiem kłamstwo i śmierć są tem samem. Myśleć kłamstwami znaczy to myśleć w fałszywym kierunku, czyli wprowadzać do swego ustroju fizycznego rzeczy bezpłodne i spalone, sprzeczne z rozwojem jego pierwiastków wiekuistych. A im więcej takich rzeczy nierzetelnych składa się na istotę naszą, tem wogóle trudniej nam bywa, nawet napotkawszy prawdę, poznać, że to ona; raczej nazwiemy ją wówczas zabawną, śmieszną, groteskową, dziecinną albo, jak się najczęściej zdarza, *nie naukową*. Ta ostatnia nazwa najlepiej onieśmiela wystraszone stadko wszystkich tych bliźnich naszych, którzy temu samemu ulegli nieszczęściu, gdyż „naukowe“ niewierzenie w nic jest doskonałym parawanem wszelkiej ignorancji, bywa zaś o wiele łatwiejsze

jeszcze, niż bezkrytyczne wierzenie we wszystko. Człowieka lepszego poznać można po tem, że ma on odwagę decydowania się na wybór. „Nie brak rozsądku ani brak rozumu — brak władzy sądzenia: oto co pospolicie nazywa się głupotą“, mówi Kant, rozumiejąc przez władzę sądzenia zdolność do oceny, podciągającej wypadki poszczególne pod ogólne prawa. Od czasu, gdy ludy naszej rasy tak fatalne zrobiły doświadczenie z dogmatami swych religij, które nas białych tak zawiodły, formalna panika wybuchła wśród nas na punkcie wiary — boimy się wierzyć w cokolwiek, czego każdy zawsze i natychmiast, o każdej porze dnia i nocy i we wszelkim nastroju nie może bezpośrednio dotknąć, zobaczyć i powąchać. A jeśli chodzi o coś subtelniejszego, to już samo nawet dawanie ucha pogłoskom, że ono istnieje albo istnieć może, wydaje się ludziom współczesnym rzeczą zdrożną i niemal zabobonną. Gdy zaś czyjś duch raz takie zajmie stanowisko, to wówczas oczywiście i ten wzrok, węch i dotyk — wszystkie te rzekomo jedynie na wiarę zasługujące zmysły nasze muszą się stawać coraz tępsze (do czego im zresztą świetnie dopomaga zmechanizowane, wrzaskliwe otoczenie), tak że wreszcie człowiek staje się zdolny postrzegać i wierzyć w to tylko, co weń obuchem wali.

Obcy i nieżyczliwy, a nawet niemal wrogi stosunek ludzi do tej drogi życia, któraby za pomocą

krzepiących prądów Intuicji i Woli, Prawdy i Marzenia, z wielkiego zbiornika Nieskończonej Świadomości płynących, każdego jednakowo doprowadzić mogła do wiecznotrwałej młodości i piękna, posiada wszelako jeszcze i inny powód, ukryty, podziemny, a niemal po błazeńsku lichy i nikczemny. U Voltaira w „Candidzie“ bohater i jego towarzysz uciekają — skąd i przed czym? — oto z prawdziwej, najautentyczniejszej krainy szczęśliwości, na którą zupełnie przypadkiem się natknęli. Nie są poprostu zdolni wytrzymać w niej dłużej, ponieważ... powiedzmy otwarcie... ponieważ w tej krainie wszystkim musi tak samo dobrze jak im się powodzić.

Względnie rzetelnym i niezepsutym jest jeszcze ten człowiek, który wie wogóle, że — i kiedy — kłamie. Kłamstwo jest u niego niejako otorbione przez poznanie, jak trychina w mięśniu. Natomiast u większości ludzi cały organizm został już tak doszczętnie przez kłamstwo przeżarty, że podobnie uczciwego rozgraniczenia fałszu od rzetelności nie są już oni w stanie w sobie przeprowadzić. Trzeba bowiem zrozumieć, że kłamstwem jest nie tylko zdanie świadomie fałszywe, lecz że jego istotę stanowi ludzenie, oszukiwanie samego siebie. Kłamstwo, które w dobrej wierze do swej istoty wprowadzamy, jako jej czynnik składowy,

tak samo jak i wszelkie inne, wypiera i pozbawia wartości rozwojowych pierwiastki, w duchu prawdy budujące. Niejedno kłamstwo, które już ledwie- ledwie trzyma się na nogach, często dzięki świeżej krwi prawdy znów do sił przychodzi — podobnie, jak całkiem już do życia niezdolne, bo zwyrodniałe przez sztuczną hodowlę, odmiany królików, aby je od niechybnej ochrony zagłady, krzyżuje się z okazami, czystą krew mającymi.

„Najgorszem z kłamstw jest kłamstwo, będące napół prawdą“. Jak to na przykład, gdy mile witamy u siebie w domu kogoś, kogo jednocześnie posyłamy w duchu tam, kędy pieprz rośnie... Lub gdy się uśmiechamy bez najmniejszej potemu chęci ni powodu, zgoła się nie weseląc... Albo gdy udajemy przed ludźmi i przed sobą zainteresowanie zdrowiem i losami osób, które majątek posiadają, a my się po nich zysków materialnych dla siebie spodziewamy... Gdy przystępujemy do jakiegoś wyznania, sekty albo związku przez snobizm, z interesu lub z rzekomych względów na naszą powagę... Gdy mówimy albo z ambony wygłaszamy zdania, które zaledwie przez pół odpowiadają głębszym naszym przekonaniom... Gdy wypowiadamy połowiczne „tak“, mając na myśli całkowite „nie“.

To wszystko — a jest to zaledwie drobna, nie warta wzmianki cząstka, zaledwie mały kosmyk

ze zmierzwionego kołtuna kłamstw codziennych — wywiera na ciało nasze wpływ bardzo ujemny. Z kłamstwem jest tak, jak z wódką, z użyciem alkoholu: stan beznadziejnego znalazowania powstaje nietyle przez ekscesy jednorazowe, ile przez nieustannie wprowadzane dzień w dzień do organizmu małe dawki tej trucizny, bez wiedzy zatruwanego niemi do krwi przenikające. W ten nieuchwytny sposób nawskróś nieprawdziwością przeżycone ciało już tych kłamstw z siebie wydzielić nie ma siły — człowiek wierzy już wtedy tylko w kłamstwa i same tylko kłamstwa odczuwać jest zdolny. To go przyprawia w końcu o chorobę i wtrąca do grobu. Albowiem nieprawdy długo trwać nie mogą, a to, co się z nich składa, musi się zawsze rozpaść, aby duch mógł zdobyć odpowiedniejsze swemu celowi narzędzie... Rezultat: jeszcze jedno chybione wcielenie.

Wszystko, co wydaje nam się złem, upadkiem i stratą, jest to właśnie cofanie się Nieskończonej Świadomości z pozycji, która stała się dla niej nie do utrzymania.

Drugą zaś wielką krzywdą, przez kłamstwo wyrażoną, jest wprowadzanie człowieka kłamiącego do wiekuistego błędnego koła prądu wydzielin czyli emanacyj wszystkich innych kłamców, którym, w myśl pokrewieństwa wewnętrznego, skłonni też jesteśmy wierzyć wówczas więcej, niż ludziom

uczciwym. „Tęga“ głowa kupiecka z jednej branży zostaje bardzo często oszukana przez wcale nie „tęższą“ głowę z innej branży, czysty bowiem i rzetelny człowiek jest dla właściciela takiej „tęgiej“ głowy raczej niesympatyczny — ani jedno słowo z ust ich paść nie potrzebowało, a już panuje między nimi głuchy antagonizm.

Kłamstwa, które codziennie słowem, gestem, oddechem, wprost samem życiem naszym puszczamy w obieg świata, są zresztą doprawdy zupełną bagatelą, o której nie warto nawet mówić, w porównaniu z temi wszystkimi kłamstwami, w które nieświadomie my sami wierzymy i przez tę naszą wiarę w nie pozwalamy, aby w nas działały, co z kolei daje im możność wpływania i na innych ludzi, wśród których żyjemy. Mamy tu do czynienia z pewnego rodzaju zarazą psychiczną. Siwizna czy łysina, zmarszczki i wszelkie wogóle oznaki rozpadu komórek w naszych tkankach są to takie właśnie zmaterjalizowane, nieświadome błędy — znaki, że w świadomości naszej osiadły przejściowo wyobrażenia nieprawdziwe.

Jednem z takich fałszywych wyobrażeń jest na przykład myśl uporczywa o przyszłej zagładzie naszej — myśl o nieuniknionem unicestwieniu każdego osobnika, jako o czemś nie do powstrzyma-

nia, nie do odwrócenia, gdyż ten ostateczny los wszelkiej jednostki jest rzekomo przyrodzonem i niezmiennem prawem, od wieków i na wieki rządzącem we wszechświecie.

Lecz to jest tylko kłamstwo — główne, naczelne, podstawowe! Arcykłamstwo! Wzარlo się ono tak silnie i głęboko w mózg całego rodzaju ludzkiego, który tak bezwzględnie przy niem się upiera, że go wogóle nawet nie wolno kwestjonować. Oczekiwaniem końca i zagłady wszyscy formalnie karmimy swe ciała, i dlatego nie można dość często powtarzać: Myśli są to rzeczy — rzeczy materjalne, które duch wysyła ciału i które się w tem cieiele krystalizują pod postacią widzialnej substancji. A ciało ze swej strony to myśl, wyrażająca w formie substancjalnej ducha, co je dla siebie stworzył. Gdy nasza błędząca wola usiłuje stworzyć z nieistotnych i nierzetelnych myśli prywatnych, to takie ciało trwale być nie może, a w jego rozpadzie ujawnia się właśnie ta jego nieistotność i nierzetelność. Kiedy zaś przeciwnie, myśli, płynące z Nieskończonej Świadomości, zostają ciału przysłane przez ducha, muszą się one tem właśnie wykazać i udowodnić pochodzenie swoje, że zdolne są utrzymać komórki tego ciała w stanie takiej trwałości, jak trwale i niezniszczalne jest życie samego ducha; bo przecież owe komórki cielesne stają

się teraz stężalemi w materję prawdami, które same siebie utrzymują. Droga do wyjścia ze wszystkich śmiertelnych nieszczęść i kłamstw zabójczych jest tak oto prosta i taka cudowna: pragnąć zstąpienia w nas prawdziwych myśli — i wraz pragnąć siły, aby móc w nie uwierzyć, kiedy się pojawią. Pożądaj zdolności i możności wiary w Nieskończoną Świadomość — wiary nie połowicznej, ale takiej, jak wierzy pływak, kołysany przez fale Atlantyku, w to, że ocean, który go ponosi, jest rzeczywistością. Domagaj się wytrwale — i nie jako jałmużny ani żadnej łaski, lecz z całą świadomością swego po temu prawa, — żądaj od owej mocy, której wszak jesteś częścią, tego, co ona sama chce, byś otrzymał od niej, i miał, i pielęgnował ku osiągnięciu jej i twego własnego absolutnego szczęścia; — albowiem mistyczna wola nieśmiertelności ciała jest tylko kwestją pewnego nastawienia psychicznego, kwestją usposobienia i kierunku myśli.

Lecz skąd tego kierunku wziąć — jak weń utracić — i co czynić mamy? Tak, słyszę, zapytują ze wsząd ci mądrale, cywilizowani, wykształceni ludzie, ile że w sprawach ducha są oni niezaradni i macają omackiem, niczem niemowlęta.

Wszystkim owym mądrałom zadam przede-

wszystkiem takie kontrpytanie: Jak wyobrażaliście sobie zachowanie się czyjeś wobec któregoś z was w takiej sytuacji: przypuśćmy, że masz dla tego kogoś przygotowane coś takiego, co go uszlachetni i korzyść mu przyniesie, a co zarazem i ciebie wywyższy i obdarzy szczęściem — coś, co tylko do tego jedynego celu i tylko przez tego jednego człowieka może być zużytkowane; jakiegobyś też oczekiwał z jego strony zachowania się w podobnej sytuacji w stosunku do ciebie? Jakie stanowisko wobec obdarzającego i jego daru powinaby, twem zdaniem, zająć jego dusza? Otóż zupełnie tak samo, jak oczekujesz, iż ów człowiek zachowaćby się winien w podobnej sytuacji w stosunku do ciebie, zachowuj się ty również w stosunku do Nieskończonej Świadomości i do Prawdy, którą Ona dla ciebie ma gotową. Czy mógłbyś pragnąć, aby wzamian za dar twój ten ktoś się poniżył — aby pełzał i żebrał o coś, co wprawdzie od ciebie pochodzi, ale jedynie za jego pośrednictwem i w jego rękach żywej wartości nabrać może? Nie! będziesz od niego oczekiwał raczej, aby w jasnym i żywym napięciu sił duchowych przygotował się do przyjęcia twego daru i aby czyn wytężył, gdyż nie ma on być tylko odbiorcą rzeczy gotowej już i doskonałej,

jeno takiej, która w nim dopiero i przez niego winna się w doskonałości swej urzeczywistnić.

Dlatego też kierunek i postawa ducha, o której tu mówimy, nie posiada nic, ale to nic wspólnego z chrześcijańskim kwietyzmem; nie jest to ani trochę bierne oczekiwanie na „łaskę“ z założonemi na piersiach rękami, w pustce bezczynnego ducha.¹

Ten stan umysłu, o który tu chodzi, najwłaściwiej może byłoby określić, jako ożywioną bierność; albowiem w Nieskończonej Świadomości niema ani żebraniny, ani zależności, ani łaski — wszystko to również kłamstwa. Treść Nieskończonej Świadomości jest samą tylko prawdą, a nasze uduchowienie ma się możliwie upodobnić do Jej duchowego stanu. Tylko to jedno i nic innego znaczy: być blisko Boga.

Poważne i pogodne domaganie się czegoś nie dowodzi bynajmniej braku zbożnej czci, nie jest zuchwalstwem ani też obelgą. Im więcej stajemy się sami tchnieniem piersi Nieskończonej Świadomości,

¹ Autor widocznie ma tutaj na myśli protestancką odmianę chrześcijaństwa — luterzańską i kalwińską — według której, w przeciwieństwie do katolicyzmu, uczynki są bezsilne i tylko wiara zbawia oraz łaska boska, zgóry przeznaczona, predestynowana. (*Przyp. tłum.*).

tem więcej uczymy się czci dla niej; ale żebranie i błaganie nie są hołdem. Żebrak bynajmniej nie czci ani nawet szanuje tego, o czyj grosz skamle — choćby go otrzymał. Nieskończone prądy siły darzą miłością i posłuchem duszę, co tak przemawia do nich: „Domagam się i pragnę stać się człowiekiem doskonałym. Domagam się i pragnę poznać prawdziwą drogę“. Domaganie się i pragnienie to przecież żądanie i wraz tęsknota; jest ono twem prawem; Nieskończona Świadomość chce, abyś narzeczcie poznał swoje prawa i praw tych dochodził. Mówi ci Ona: „Wszystko to jest twoje — pocóż ociągać się i żebrać?“

BÓG W TOBIE

Jako istota duchem obdarzona, jesteś częstką Nie-skończonej Świadomości i Mądrości nieprzebranej. Jako ta jej częstka, jesteś bez przerwy wzrastającą siłą. Siła ta może tylko zwiększać się, nigdy — maleć. Ona to, z otchłani czasu się dźwigając i wciąż się potęgując, ukształtowała umysł twój i tem go, czem jest dziś, uczyniła. Do siły tej każdy z żywotów twoich nieświadomie dorzucił coś nowego. Każde zmaganie się duchowe — czy to w walce z bólem, nałogiem lub występkiem, czy w dążeniu do jakiejś władzy, umiejętności, kunsztu albo sztuki — zmaganie się z sobą samym, z niezadowolenia ze siebie pochodzące, z poczucia braków własnych — wszystko to było czynnikiem postępu wgląd ku rosnącej mocy, wzwyż ku względ-nemu udoskonaleniu, a przez nie ku szczęściu. A l-bowiem sensem żywota jest szczę-ście.

Dziś rozporządzasz większą ilością sił duchowych, niż kiedykolwiek przedtem; dowodzi tego właśnie twoje z siebie samego niezadowolenie, wzrastający krytycyzm w stosunku do siebie. Gdy-

by bowiem duch twój nie był się stał jaśniejszym, nie dostrzegłby tych braków w sobie, a już zwła-szcza nie bolałby nad niemi. Ale na wahadłowej drodze uświadomień może w tej chwili właśnie mijasz punkt najniższy. Przeceniasz swe usterki pod pierwszym wstrząsającym wrażeniem ich odkrycia. Przypuszczasz, że wzrastają, ale to tylko twoje złudzenie optyczne, to rezultat tego, żeś zbliżył się do prawdy. Bóg w tobie, czyli wiecznie kwit-nąca w łonie twojem siła, stworzył ci oczy na wady charakteru twego; ale też nigdy jeszcze wady te nie były tak bliskie usunięcia, jak właśnie w tej chwili.

Oto pod domem znajdowała się zapowietrzona jama, stanowiąca źródło ukryte zarazy. Odkrycie jej — zapewne — nie było dla nikogo przyjemną niespodzianką, ale obecnie już mieszkańcy domu czują się pewniejsi, niż przed tem odkryciem, bo teraz nie ulega najmniejszej wątpliwości, że gnia-zdo zarazy zostanie zniszczone. Ta czarodziejska różdżka rabdomanty, poznaniem zwana, gdy za-miaś żyły złota odkrywa gnojowisko zaskórne, nie mniejszej, lecz tem większej pochwały jest godna. Nikt niech się nie przeraża swojemi błędami: są one w nim — zapewne; ale i Bóg też w nim jest, i on mu je wskazuje, chcąc, by się doskonalili.

Od dziewiętnastu wieków powtarzano ciągle człowiekowi, że niegodny zeń grzesznik, a ten świat

to padół nędzy i upadku. Wbijano mu to w głowę tak długo, aż w końcu stał się tym „grzesznikiem“, a przez ową „grzeszność“ jego życie i świat stały się „padołem“. Ale oto pierwsze zdanie pierwszej książki, z której dziecko chińskie naukę w szkole rozpoczyna, brzmi: „Człowiek jest dobry“. Traktować każdego zawsze i z założenia jako gentlemiana — to znaczy tak weń to gentlemianstwo wmówić, zasugerować mu je, aż stanie się ono dla niego tą „drugą naturą“ z przysłowia, a z czasem, w końcu nawet poprostu „naturą“.

Nikt niechaj nie narzeka: „Jakże nam przezwy ciężać wszystkie swe słabości? Nie! lepiej już dam spokój; trudno, już się nie poprawię“. Przecież mówiąc to, właśnie poprawiasz się w tej chwili. Każdy protest w duszy jest jakąś jej przemianą. Tylko że oczywiście, nie wszystko może stać się w jednym dniu, tygodniu, ani nawet roku. I w przyszłych twych wcieleniach nigdy nie nastąpi taki dla ciebie okres, kiedy już nic do poprawienia w sobie nie będziesz mógł znaleźć. Każda zaś poprawa z konieczności przypuszcza, że istnieje to właśnie, co ma być poprawione. Każdy wciąż odnowa buduje sam siebie z nowych barw, sił i kształtów, jako żywy chram bóstwa; a kamieniem węgielnym, założonym dlań przez Budowniczego, jest szacunek dla samego siebie — wielkie, święte Ja nasze; ale nie to małe i marne, dzisiejsze, tylko ten idealny

obraz samego siebie, który każdy z nas w sobie nosi i do końca żywym nosić winien.

Podobnie, jak drzewo nie przestaje rosnąć w zimie, żaden talent nigdy wzrastać nie ustaje. Ucząc się deklamacji, malarstwa, gry w bilard lub czegoś podobnego, łatwo jest zauważyć, że po przerwie miesięcznej, rocznej, a nawet czasem dłuższej, gdy tylko nam powróci utracona wprawa, gramy, malujemy lub deklamujemy o wiele lepiej, niż poprzednio; sami o tem nie wiedząc, zgoła nie myśląc o tem, ani tego pragnąc, z bogaciliśmy się w nowe punkty widzenia i nowe metody.

„Jakież więc sens ma życie?“ — — Sensu własnego swego życia określić nikt nie może — ten sens zostaje zawsze określany przez szerszy los zbiorowy, przez prawo, które nami rządzi i wiedzie nas. Dokąd?... Oto ku coraz bardziej wzrastającej, poprostu bezgranicznej zdolności do szczęścia. Co dnia i co godziny wszyscy — niech sobie pozory, jak chcą, przeciwko temu przemawiają — wrastamy coraz głębiej w szczęście przy pomocy coraz to czulszych naszych i coraz mądrzejszych, coraz świetlistszych organów. Cierpienia, które wypada nam znosić, pochodzą z tego samego narastania duchem, które sprawia, że chcąc nie chcąc, znajdujemy się coraz bliżej źródła niedoli naszej tak, iż je wre-

sztacie musimy zauważyć i uznać udrękę naszą za niezbity dowód, żeśmy zbłądzili na manowce, skąd za wszelką cenę musimy zawrócić. Na tego zaś, kto z głębi duszy, z powagą śmiertelną domaga się poznania właściwej swej drogi, zstąpi coś zawsze, co go poprowadzi; jest to bowiem jedno z najgłębszych i najsubtelniej pomyślnych praw bytowych, iż żadne prawdziwe wołanie o pomoc bez odpowiedzi nie będzie zostawione. Wszelkie mocne i szczere pragnienie lub modlitwa musi nam przynieść w darze to, o co się modlimy, czego pożądamy.

Ludzie, których los zda się szczególnie prześladować, mogą być najlepsi nawet i najporządniejsi, ale są widać krąbrni i zakamieniali wobec własnej duszy: nie widzą, i, co gorsza, nie chcą widzieć, dokąd los pragnie ich zaprowadzić; są, jak ten koń oporny, który przed przeszkodą wciąż się wyłamuje, choć go szpicruta jeźdźca boleśnie przynagla. — Gdzie ból, tam i błąd jest; gdzie cierpienie, tam musi być coś fałszywego. Cierpienie to busola, która wskazuje drogę ku Wyspom Szczęśliwości.

W szczupłym kółku tych, którzy osiągnęli mą-

drość, znajdzie się dzisiaj kilku, żyjących w tak doskonalej harmonji z Nieskończonością, iż droga ich przeznaczeń nie prowadzi już nigdy przez cierpienia, pochodzące z poważniejszych jakichś zbroczeń na manowce. Ci najnieliczniejsi z rozmysłem zachowują w sobie jakiś brak niewielki, jakiś „slaby punkt“ w cielesnej swej organizacji, aby dla drobniutkich odchyłeń swych od prawdy posiadać w sobie jeszcze jakąś busolę ziemską, coś, przez co każdy nawet najmniejszy brak w nich mógłby ujawniać się wyraźnie i, że tak powiemy, namacalnie.

Sens życia?!... Tak się naucz żyć, aby każdy nowy twój dzień cechowała pewność coraz to większej pełni bytu, coraz to czystszych i subtelniejszych uciech, — aby to, co się zowie „czasem do zabicia“, nie istniało dla ciebie, aby nawet myśl o tem była ci całkiem obca. Naucz się doznawać czysto fizycznej błogości, poprostu zwierzęcej uciechy ze słońca, ekstazy oddychania, jak to umieją tutaj wszyscy ci, co życie wzwyż w sobie dźwigają. Trzeba potrafić wznieść się nad ból i chorobę, stać się dotyła panem swoich myśli, aby one, dowolnie, kędy zechcesz, wysłane, panu swemu przyniosły, czego tylko zapragnie: i dom, i ojczyznę, odzież i pożywienie, druha i ukochaną... Myśl powinna stać się podobna do owego Dżina z arabskiej bajki: wszystko zdobywać winna, nie grabiąc przytem,

ani nie krzywdząc bliźnich, bo Dżin tylko stwarza, lecz nic nie odbiera. Tak wzmóc się trzeba na siłach, aby nasz duch dowolnie zdolny był ciało swoje odmładzać, przemieniać i uszlachetniać, podtrzymując je, jak długo zechce, w takim stanie, że żadna z jego części nie osłabnie, nie zwiędnie ani nie ulegnie rozkładowi. Pić z ciągle nowych studzien radości i napój uciech podawać innym; być zawsze tym, co daje; nie mieć wrogów, i nie czuć się wrogiem niczyim, ale być zawsze mile przez wszystkich widzianym — oto istotny sens życia, którego już się nauczyli i uczą się codziennie ludzie, równie jak my „realni“, lecz bardziej od nas żywi. Mówiąc innemi słowy, ziemię zmieniać należy w niebo.

Podobna doskonałość — to zresztą odległy dziś jeszcze, co prawda, ale nieunikniony los każdej duszy indywidualnej, nikt bowiem ująć nie zdoła przed ostatecznem szczęściem. W miarę, jak, krocząc po przez swe kolejne ciała, duch urasta, uczy się on właściwie oceniać wszystkie męki, które zniósł lub znosi, jako życzliwe i mądre szturchańce, które go wypychają ze ślepych uliczek, aby w nich nie utknął, zwracają go natomiast w kierunku, w którym idąc, uniknie nareszcie wszelkiego cierpienia i stanie na wyżynie życia. Wówczas w porwijącym wirze szczęścia zniknie dla niego wszelkie poczucie czasu, jak na pochłaniającem uwagę

widowisku, lub w ekstazie miłosnej, podczas muzyki albo podczas niebezpieczeństw, fascynujących przygód.

I hinduska nirwana nie stanowi również nic z poza człowieka. Jest ona, przeciwnie, rodem z tego świata i w kwiecie lotosu serca ludzkiego spoczywa: „Duch jest jej tworzywem, życie — jej ciałem, światło — kształtem“. A tak oto przebiega szereg rozwojowy: jaźń, składająca się tylko z pokarmu; w tej jaźni, jak w otoczce, tkwi jaźń oddechowa; w niej — emocjalna; w tej znowu — poznawcza, i w niej dopiero, jako najwewnętrzniejsza — jaźń, będąca rozkoszą! I ta jest zaiste istotą człowieka; kto bowiem dociera do istoty rzeczy, tego przenika rozkosz; a gdyby tej rozkoszy nie było na świecie, któżby chciał żyć, oddychać? On (duch, atman) ją stwarza; kto raz już znajdzie spokój i punkt oparcia dla się w tem, co Ponad-cielesne, Niewypowiedzialne, Niezglębione, ten już tego spokoju dostąpił na zawsze; jeśli jednak poza tem jest w nim i coś innego, gdy jest w nim jakaś próżnia, nie zazna on spokoju, lecz będzie w nim niepokój zwykły tym, co mylnie sądzą się być mądrymi. (Vedanta).

Niepodobna nigdy za często powtarzać, że tylko w pogodzie ducha leży tajemnica wszelkiego ziszczenia. Wystrzegać się nadziei, co wrzawę

i hałas dokoła siebie czyni — i pożądania, szarpiącego nerwy — nie trawić się w tęsknocie! We śnie i na jawie podtrzymywać w sobie tylko łagodną pewność, że wszelki trud i praca, muszą się nam opłacić, wszelkie przedsięwzięcie powieść; że dzisiejsze nasze dźwignięcie się wzwyż na drodze rozwoju jest tylko stopniem do następnego jutro. Marzona przez cię podróż do krainy cudów ma być dla serca twego czemś tak niezbitcie pewnem, jak to, że jutro znowu wszędzie słońce. Niepokój i troska stają się słowami bez treści dla tego, kto wie, bo poznał prawdę; a jego posłannictwo i ostateczny triumf — czy to jako malarza, rzeźbiarza, mówcy, kupca, architektu albo wynalazcy — są dlań rzeczą tak łatwą i sama przez się zrozumiałą, jak wejście na piętro po wygodnych schodach.

W życiu, nawet niezupełnie, lecz chociażby względnie doskonałem, dojść do tego musi, jeżeli tylko prawidłowe i owocne używanie substancji myślowej, posługiwanie się jej siłami przyciągającymi i odpychającymi, staną się dla nas czemś tak naturalnem i przyrodzonem, jak oddech albo bicie serca. Potrzeba potemu tylko, abyśmy doszli do tego istotnie żywego poznania z ducha, że nasze pragnienia, we właściwej objawiające się postaci, są czemś w rodzaju liny duchowej do przyciągania ku nam z matematyczną pewnością wszystkich potrzebnych nam sił, środków, pomocy, sposobno-

ści — podobnie, jak mięśnie naszych ramion potrafią ściągać ku brzegowi łódź, którą holujemy.

Wszak już dziś nadajemy spokojnie depeszę, nie troszcząc się bynajmniej o to, że nie dojdzie do miejsca przeznaczenia z tej racji, iż o istocie elektryczności my dotychczas prawie nic nie wiemy. Czy elektryczność stanowi jakiś magnetyczny wir w eterze, czy wszechświatowy eter wogóle istnieje, czy też jest jedynie naszą hipotezą pomocniczą: a jeśli istnieje, to czy mamy go sobie wyobrażać, jako ciecz idealną, czy jako substancję o konsystencji stali? Wszystko to są dzisiaj jeszcze zagadnienia z dziedziny fizyki matematycznej; a ponieważ nauka ta — i to właśnie stanowi o jej charakterze i wielkości, — mniej więcej co lat dwadzieścia z gruntu się odmienia, więc czem jest elektryczność, wiemy dziś równie mało, jak za czasów Franklina; tylko, że już umiemy nią się posługiwać, i właśnie jedną z posług, które nam oddaje, jest przesyłanie depesz.

Zupełnie tak samo i posługiwanie się siłą myślową jest zagadnieniem czysto praktycznej natury, kwestją prostego doświadczenia, które każdemu podjąć wolno. A nawet każdy na swój swoisty sposób spróbować go powinien. Kto, nie zbadawszy tej sprawy osobiście w sposób doświadczalny, odrzuca zjawiska psychiczne w tej postaci, jak je tu

wykładamy, poprostu dlatego tylko, że wydają mu się niezrozumiałe, ten, gdyby chciał być konsekwentnym, musiałby odkładać zapoznanie się z telefonem i telegrafem aż do czasu, gdy sama istota elektryczności przestanie dlań być rzeczą niepojętą. Właściwie zaś ostrożniś tego rodzaju również i żyćby nie powinien — bo wszak, co to jest życie, nikt dotychczas nie wie.

Zanim ludzie nauczyli się korzystać z elektryczności, było jej w przyrodzie tyleż, co i dzisiaj, i była ona również, jak dzisiaj zdolna służyć ku naszej wygodzie; lecz władza nasza nad nią jeszcze nie istniała, bo brakło nam sposobów i umiejętności nadawania jej kierunku, dla nas pożądanego. Przemocną potęgę prądów myślowych aż po dzień dzisiejszy nie tylko się trwoni, ale nawet gorzej: przez ignorancję i złe przyzwyczajenia, nabywane i umacniane w ciągu całego życia, nasze baterje pracują tutaj w kierunku wręcz przeciwnym, niżby należało. Gromadzimy w sobie i wyładowujemy raz po raz nieżyczliwość, zazdrość, szyderstwo, urągania, gminność i brzydotę pod wszelkimi postaciami; a przecież to wszystko stanowi realną substancję myślową, tylko przepuszczoną przez złe transformatory, szkodzi więc nam napewno, a może i innym.

Kamieniem węgielnym owocności wszystkich na-

szych usiłowań i w tem i we wszelkiem innym istnieniu naszym jest: nigdy o niczem w myślach nie mówić: niemożliwe. Nigdy pod wpływem pierwszego popędu nie odrzucać żadnej idei, jakkolwiekby się dziwną albo zuchwałą zdała. Zawsze naprzód poczekać, niech się instynkty skupią w nas i zbiorą — często są nieobecne. Dopiero wtedy może zjawi się w nas ten dziwnie subtelny dreszcz zarania, będący udziałem wyłącznie tych, co stoją u początków rzeczy. Największy, najoczywistszy cud, gdyby nawet był dla wszystkich widoczny, ale trwał tylko jedną chwilę, ześlizgnąłby się gładko i bez śladu po mózgu ludzkości. Im fantastyczniejsza i bardziej oszalamiająca jest jakaś myśl, tem więcej czasu należy jej zostawić do działania. Wołać „niemożliwe!“, ponieważ coś się niemożliwem zdaje, znaczy to wogóle hodować w sobie fatalny nawyk do negacji. Świadomość staje się wtedy jakgdyby więzieniem o drzwiach zaryglowanych przed nieskończonością z zewnątrz, podczas gdy wewnątrz zostaje sam, sam jeden maleńki człowieczek. Mówić „niepodobieństwo!“ o jakimś celu do osiągnięcia w sobie — czy będzie nim wieczna młodość, czy cielesna nieśmiertelność —

jest grzechem, popełnianym przeciwko Duchowi, albowiem nie daje mu to urzeczywistnić samego siebie za naszym pośrednictwem. Albo, właściwiej mówiąc, będzie to dla niego tylko zwłoką, tylko opóźnieniem. Bo, jak chcesz się opierać, stawiaj się okoniem i wierzgaj napróżno przeciw ościennowi — na dłuższą metę niema ani być nie może skutecznego oporu przeciw doskonaleniu się wszechrzeczy (nie wyłączając ciebie), i wszelkie twoje krzykliwe „to niepodobieństwo!” oznaczają co najwyżej wzniesienie chwilowej przegrody.

Mawiaj do siebie zawsze: wszystko jest możliwe — ja mogę stać się wszystkim, co budzi mój podziw. Mogę zostać pisarzem, artystą, wynalazcą, mówcą; mogę się zrobić jak chcę, pięknym, gibkim, zdrowym i szczęśliwym. A wtedy staną przed tobą otworem drzwi do niewidzialnej świątyni wnętrza ducha. Twoje „nie mogę“ było tą zaporą, która cię odgradzała od ciebie samego.

„Żyć nadzieję wbrew wszelkiej nadziei“ jest wielką mądrością; a mądrość tę osiągać umiała dotychczas jedna tylko miłość.

Białej magji pragnienia nikt na zasadzie cudzych doświadczeń nie posiada, choćby świadectwo i przykład były dla niego jak najbardziej przekonywające, a cud obcego życia jak najoczywistszy. Te mogą zawsze służyć tylko jako

zachęta i podnieta, nigdy — jako wzór właściwy do naśladowania; podobnie bowiem, jak są ogólne prawa, którym podlegają wszyscy, tak są też i prawa indywidualne, jako że każdy człowiek jest jedyny, niezastąpiony i z nikim nie da się porównać. Ani ja po twojej drodze do szczęścia dojść nie mogę, ani ty po mojej, przychodzimy bowiem z dwu zupełnie różnych okolic wieczności. Najgłębszy rdzeń mego, a twojego życia, noszą na sobie piętna dwóch zgoła obcych istnień. Niema dwóch słów, któreby dla dwóch ludzi to samo znaczenie posiadały, a cóż dopiero mówić o dwóch różnych i obcych sobie doświadczeniach. Gdzie niedźwiedź polarny w najlepsze używa życia i pławi się w rozkoszy, tam tygrys odmraża sobie łapy.

Każda istota musi znaleźć odrębny swój wyraz jednostkowy dla praw ogólnych. Znane jest na przykład to powszechne prawo, że wiatr popycha żaglowce; ale przecież nie na każdym statku jednakowo nastawia się żagle. Podobnie, według powszechnie obowiązującego prawa, myśli nasze po za obrębem organizmu działają jedne na drugie tudzież na świat fizyczny, tak że ciała nasze zależą w znacznej mierze od zabarwienia myślowego tych, z którymi, sami o tem nie wiedząc, obcujemy w Oceanie Ducha. Ale właśnie dlatego byłoby to z mej strony krokiem zupełnie chy-

bionym, gdybym ja, widząc kogoś o duchu znacznie mój duch przewyższającym, a kto swą własną drogą ciągle idzie naprzód, chciał naśladować niewolniczo jego sposób życia, jego metody i stosunek do świata i ludzi.

Organizm nasz zawiera żelazo, fosfor, siarkę, związki mineralne w tysiącnych odmianach tak różnorodnych i subtelnych, że chemja fizjologiczna daleka jest jeszcze od ich dokładnej znajomości. A duchowa nasza istota składa się ze swej strony z niewidocznych odpowiedników tych wszystkich pierwiastków i ich połączeń, w niesłychanie delikatny i nieskończenie rozmaity sposób w każdej jednostce z sobą pomieszanych i uwarstwionych. Któż więc, prócz ciebie samego, zdoła ocenić należycie, kto zdoła właściwie pokierować wszystkimi poszczególnymi akcjami i reakcjami tego jedynego na świecie ich zespołu, który tve JA stanowisz? Ty sam musisz wyszukać sobie odpowiadających twojej naturze przyjaciół, określić właściwe dla ciebie pożywienie tudzież potrzebną ilość ruchu — słowem, instynkty w sobie wyćwiczywszy, wykryć musisz, jakich trzeba ci zabiegów higienicznych, by żyć możliwie dobrze. A tu człowiek dzisiejszy lekarza dopiero pytać musi, co jeść powinien — lekarza, który również mało jak on sam wie o tem. Taki zanik instynktów spotyka się na całej przestrzeni natury chyba jeszcze tylko u pe-

wnych zwyrodniałych mrówek rozbójniczych, które nie są zdolne nawet pożywienia znajdować same sobie i muszą się kazać karmić niewolnicom. Lekarze w najlepszym razie wiedzą to i owo o chorobach, ale na zdrowiu zgola się nie znają, chociażby z tego względu, że istotne zdrowie trafia się bardzo rzadko. Lekarz przez całe życie nie styka się nigdy z ludźmi zdrowymi, normalnymi. Stąd zjawiają się potem takie warjackie obliczenia, jak te na przykład, które spotykamy u wielkiego chemika Liebiga, dowodzącego, że człowiek potrzebuje dziennie tyle a tyle substancyj białkowych. Znamioty ten uczony niemiecki przeprowadzał swe doświadczenia wyłącznie na obrzmiałych i napęczniałych korporantach o brzuchach piwoszów, a więc na niesłychanie nędznych motorach ludzkich, potrzebujących potrójnej ilości paliwa. I wskutek tych badań nad tak nieodpowiednimi obiektami przez lat trzydzieści potem w całej Europie poprostu hodowano zapalenia wyrostka robaczkowego, artretyzm i inne choroby przemiany materji, przekarmiając białkiem zupełnie normalnych ludzi, a zwłaszcza dzieci, i krew im zatruwając.

Każdy lepszy człowiek ma w każdej gałęzi swojej działalności, czy to będzie sztuka, nauka, czy handel, swoje własne metody, tak odmienne, swoiste i zróżnicowane, że chcąc je wytłumaczyć, nie

byłby w stanie dobrać słów dosyć subtelnych; a co się tyczy jego ciała, tego siedliska wszystkich jego zmysłów, czyż miałby dopiero być zmuszonym kogo innego o nie pytać? Należy zawczasu ćwiczyć powonienie, smak i czucie na pokarmach delikatnych; a przy lada drobnostce, która nam dolega, nie można pozwalać, aby do organizmu wlewano nam „kwartami“ lekarstwa — czyli właściwie te substancje regulujące, które w niewielkich dawkach ustrój sam na własny użytek wytwarzać może i powinien.

Niewątpliwie, ludzie z większem doświadczeniem w zakresie praw ogólnych mogą być innym bardzo przydatni i pomocni, dodając im bodźca, podtrzymując odwagę, krzepiąc siły i, że tak powiemy, zarażając ich nadzieją. Spotykać się z takimi ludźmi o określonej porze, możliwie w tem samym miejscu, i toczyć poważne, przyjemne rozmowy — rzecz to wysoce pożyteczna, która może mieć dla nas skutki wręcz nieobliczalne. Kto jednak bierze sobie jakiegoś człowieka, mężczyznę czy kobietę, nawet choćby proroka czy świętego, za autorytet i nieomylnego w świecie duchowym przewodnika, ten oczywiście zbacza z właściwej drogi, żyje bowiem doświadczeniem cudzem — doświadczeniem człowieka, inaczej z pierwiastków jemu swoistych zło-

zonego, inaczej reagującego na świat i na którego świat też inaczej oddziaływa.

Czepianie się polu innego człowieka jest grzechem tchórzostwa. Lgnąć do czegoś małego, pozornie pewnego, ponieważ widocznego, zamiast się powierzyć samej niewyczerpanej, nieskończonej Mocy — cóż to za małoduszność! Zamiast w nieskończoności, jako ptak, zawisłszy, na jej skrzydłach w promienne dać się ponosić kraje... Tej nieskończonej siły samej w sobie nikt z nas nie ujrzy nigdy, widzimy zawsze tylko jej wiecznie zmienne kształty, jako to słońce, gwiazdy, kwiaty lub zwierzęta; lecz naszym jest zadaniem ucieleśniać ją w nowej postaci w samych sobie — w postaci przyszłego ziemskiego archanioła.

Siła ta działa w każdym — w mężczyźnie czy kobiecie, dorosłym czy dziecku. I na jakimkolwiek stopniu drabiny życia stoją, na jakimkolwiek poziomie moralnym albo umysłowym, dziś są oni wszyscy mądrzejsi, silniejsi, a więc i lepsi, niż byli wczoraj i kiedykolwiek przedtem, choćby wszelkie pozory mówiły co innego. We wszystkich postaciach natury i ducha, wyzwających się z więzów materji, pęd do subtelnej doskonałości, zanim pewien stopień rozwoju osiągnie, pozostaje sam sobie nieznanym, nieświadomym. Tęskniący Bóg przebywa wszędzie, wiecznie czynny, nawet w pijacynie,

który się w rynsztok stoczył. Duch pragnie się ze-
wsząd wydobyć i wzbić w górę: z najpodlejszego
klamcy, z najbardziej pogardy godnego lajdaka.
I wielkim to jest błędem powiedzieć o kimkolwiek,
jakoby „na psy zeszedł”; takich słów raz na zaw-
sze poniechać wypada. Podobna myśl o kimś działa,
jak cios psychiczny, który, skrósł Niewidzialne
idąc, uderza w piersi tego, do kogo się odnosi, wstecz
go odrzuca i cofa w rozwoju; stanowi ona dla każ-
dego czynnik hamujący w tym ciężkim, ślepym tru-
dzie wydobywania się jeszcze w ciągu tego wcielenia
z okrutnej wilczej jamy, w którą wpadamy tak
często. I zupełnie tak samo, jak nasze myśli nie-
raz cios zadają innym, tak też czyjaś myśl niema,
niewypowiedziana, nie ujęta w słowa, z pewnością
i nam często bezwiednie przeszkodziła wybrnąć
z jakiegoś bagna, w którym brnęliśmy właśnie: z ja-
kiegoś stanu niezdecydowania albo zależności, złego
usposobienia, myśli drwiących i szyderczych lub
nienawiścią tchnących. Wszelki sąd wzgardliwy
albo potępiający szkodzi nietylko tym, o których
jest wypowiedziany, ale pogarsza również wogóle
„aureę” świata i, chociaż odrobinę, lecz zawsze ją
uwstecznia.

„Co mi nie zadaje śmiertelnego
ciosu, to mnie silniejszym czyni”
(Nietzsche). Pasowanie się ciągle z wiecznem pro-
mieniowaniem ku nam z otaczającego świata wy-

ziewów szyderstwa i pogardy, uwłaczającej krytyki
i szarpania czci ludzkiej, może doprowadzić czło-
wieka do tego, że nagle stanie się on siłą
pozytywną, i, jak stal hartowny, nakształt
twardego miecza pójdzie przez świat i życie. Siła
istoty ludzkiej, która w ten sposób nagle stała się
pozytywną, jest niezmienna, i niezmienny jest wir
ten w eterze duchowym, który wytwarza ona nie-
spodzianie przez odruch sprzeciwu. Tylko że taki
człowiek musi raz gdzieś kiedyś znaleźć
i taką wyspę, dla siebie odpowiednią, gdzie ne-
gatywnie odbiorczym stać się może. Bo
być przez całe życie bez przerwy pozytywnym —
tego nikt znieść nie zdoła.

Każdy człowiek ma prawo rzec do otoczenia,
które go krytykuje: „Wolałbym słowa aprobaty —
prawda — lecz nie zależę od niczyjego
„tak” i niczyjego „nie”. Jedyłą in-
stancją, którą uznaję bezapelacyj-
nie, jest Bóg w sercu mojem. Przed Jego
sądem w nicłość pada sofizmat wszelki, a od zmar-
szczenia brwi Jego nie masz ucieczki”.

Nikomu nic nie przyjdzie — w najdosłowniej
realnem znaczeniu tego słowa — i na nic mu się nie
zda tłumaczyć się z morderstwa, oszustwa czy kra-
dzieży nieodpornym przymusem, neurozą, psychozą
i innemi tego rodzaju terminami fachowemi oraz po-
woływaniem się na przeróżnych ekspertów i bie-

głych. To może dobre w sądzie dla prawników, lecz zgoła i na wieki wieków bezskuteczne ze stanowiska prawa naturalnego i nieskończonego, które ma własne sankcje przeciw wszelkiemu zboczeniu z drogi prawdy. Ludzkość dzisiejsza przechodzi w rozwoju swoim przez stadjum krytyczne: ma już dość siły ducha, aby popełniać niebotyczne błędy, ale i cierpi może więcej, niż kiedykolwiek, od wyżej wymienionych, a nieubłaganych sankcyj naturalnych i wskutek tego żyje w piekle wzajemnych nienawiści. Tylu i tak różnorodnych form nienawidzenia się nie było z pewnością jeszcze nigdy: nienawidzi się już nietylko warstwami i kastami, poziomo i pionowo, ale i po przekątnej, od narodu do narodu, „patryjotycznie“, i wpoprzek, od partji do partji... Pomiędzy zaś temi głównemi nienawistnych uczuć kierunkami biegną zygzakowate, jak żyłki poboczne na ciele ludzkości, niezliczone nienawiści pomiędzy jednostkami, od serca do serca, sposobem prywatnym. I wszystko to dlatego, że duch już tak się wzmocnił, iż jego opór przeciw nieskończonemu prawom zdolny jest wywoływać o wiele większe skutki, niż u zwierząt lub istot natury pierwotnej.

Lecz oto już się tyle nagromadziło cierpień, a fałsz — choć niewiadomo, na czym on polega —

ciąży nam tak nieźnośnie, że i tęsknota, nawet w najtępszych duszach, przepotęzną stawać się zaczyna, aby się czegoś więcej dowiedzieć o prawach, które tem wszystkim rządzą. I dlatego tęsknocie tej stanie się zadość i na pytania te przyjdzie odpowiedź; albowiem jest to prawo natury nad prawami, że czego duch ludzki pragnie, to prędzej czy później, zależnie od siły pragnień i liczby pragnących, ziścić im się musi. Im większa jest liczba pytających, tem rychlejsza też będzie odpowiedź na pytania i tem dokładniejsza.

Istnieje magiczne słowo, które zniewala wszechświat: słowo „chcę“ — gdy wypowiada się je krwią serdeczną, mięszem komórek rozrodczych, całą istotą swoją, całą duszą.

Poprzednie pokolenie tęskniło do przewyciężenia przestrzeni, odległości — i oto siła pary objawiła mu się. My w naszym pokoleniu urzeczywistniliśmy mówienie i słyszenie na odległość za pomocą elektryczności. Obie te siły istniały w przyrodzie zawsze, lecz brakło białej magji pragnień milionów ludzi, aby w kilku mózgach przetworzyły się one w ducha wynalazczego i tą drogą ziściły tęsknotę milionów. A przecież para i elektryczność to ledwie drobniutkie wskazówki, jak człowiek odkryć może siły pomocnicze o wiele dlań ważniejsze, o wiele potężniejsze, i nie pozewnątrz niego leżące,

lecz wewnętrzne — niewidzialne czynniki, które mnie i ciebie, czytelniku, tworzą.

Niepokój, złe samopoczucie, niezadowolenie, owo „Na miłość boską! niech się co odmieni“ i owo „Tak przecież dłużej trwać nie może!“, wypowiedane dzisiaj z krzykiem przez miliony ludzi, jako ich modlitwa i klątwa zarazem, te głosy, te pragnienia — one to wydzierają gwałtem gatunek ludzki z pod panowania złego, albo — co to samo znaczy — z niższych, bardziej głuchych i tępych form istnienia.

Wstrząsające nami głębokie wzruszenia, które powodują, że człowiek wychodzi poza samego siebie i ponad siebie wzwyż się dźwiga, dwojakiego są rodzaju i dwiema drogami do doskonałości nas prowadzą: drogą udręki i drogą radości. Droga radości otwiera się przed nami z chwilą, gdy tylko zaczynamy stosować się do czystych, instynktownie poznanych praw. Nieskończonej Świadomości i gdy czynimy to nie ze strachu przed dobrze znanym nam cierpieniem, które jest następstwem każdego najmniejszego przeciw nim sprzeciwu, ale z najgłębszego wewnętrznego o ich słuszności przekonania.

Schiller określa cnotę, jako „skłonność do spełniania obowiązku“. Gdy „obowiązek“ pojmować dość szeroko, w sensie harmonji z nieskończonością, to cnota będzie właśnie tą drogą radości,

o której mówimy. Innemi słowy, ludzkość wejdzie na tę drogę wtedy, gdy da się nakłonić do większej mądrości w swoich poczynaniach, powodowana pragnieniem zachwytów, które mądrości stanowią nagrodę, oraz uciechą wynalazcy, odkrywcy na widok odślanających się przed jego wzrokiem nowych sił i mocy. Subtelne smakołyki je się z umiarkowaniem, gdyż doświadczenie uczy, jak bardzo ten umiar pobudza zmysł smaku, a więc i zwiększa rozkosz. Smak zaś i zapach wyzwalają w nas też instynkty lecznicze, które dobrowolnie zatracił organizm, stępiony użyciem krwi zwierzęcej, alkoholu i nikotyny.

Mili i delikatni będziemy dla przyjaciół nie z egoistycznej obawy, aby ich nie utracić, lecz dlatego, że uprzejme i delikatne zachowanie się stanie się dla nas źródłem tak przyjemnych wzruszeń, jak oddychanie czystym i świeżym powietrzem. Wszystko zawisło od wyczulenia i uduchowienia i wszystko ku takiemu wysubtelnieniu zmierza, że przegrody, wznoszone pomiędzy ludźmi przez materję, staną się nieuchwytne, a każde drgnienie jednakowo przenikać będzie wszystkich w myśl „*tat twam asi*“: tem ty jesteś. Strach był od wieków podstawą wszelkich praw, ale na przyszłość ma nią być tylko radość. Cały kompleks obaw, zgrupowanych dokoła wyobrażenia „grzechu“, ma być wymazany ze świadomości ludzkiej. „Kusiciel“ bę-

dzie występował na przyszłość w zgoła odmiennej roli — będzie „uwodził“ do dobroci, mądrości i wysubtelnienia, a posługiwać będzie się przynętą potęgującej się w duszach radości.

Cierpienie, jako znak ostrzegający, miało cel dopóty, dopóki ludzkość była w stanie barbarzyństwa — bicz na nią był potrzebny. Jej ślepotą duchową sprawiała, że tylko bolesnymi środkami można ją było chociaż w przybliżeniu kierować na właściwą drogę. Lecz gdy przejrzy na oczy — a jej subtelniejsi przedstawiciele i bystrzejsi już się nauczyli patrzeć — wówczas cierpienie stanie się zbyteczne. Albowiem czyż na ucztę potrzeba zapędzać kogo pałką?

PRAWO POWODZENIA

W we wszelkich przedsięwzięciach, natury praktycznej zarówno jak idealnej, powodzenie nie bywa nigdy dziełem ślepego przypadku, ale przychodzi zawsze jako wynik prawa: przypadek bowiem byłby przejawem dowolności, na którą niema miejsca w prawidłowym biegu zjawisk przyrodzenia. Wszystko w nieubłagany sposób wiąże się z sobą w jeden łańcuch przyczynowy; inaczej, niż jako przyczyna lub skutek, nic wogóle na świecie pomyśleć się nie da: gdy małym palcem od ręki poruszę, musi to spowodować zmianę konfiguracji całego wszechświata, jakkolwiek oczywiście gdzieś tam na Syriuszu albo drodze mlecznej niesłychanie nikłą.

Ponieważ prawa natury nie mogą przestawać działać tam, gdzie się zaczyna kora wielkiego mózgu, przeto i nasze losy wewnętrzne, duchowe również mało pod wpływem przypadku się kształtują, jak dajmy na to — rozwój rośliny z ziarna. Los nasz jest produktem działania praw bytu, a w miarę tego, jak wzrasta nasze tych praw poznanie,

uczymy się posługiwać niemi, jak siłą wodospadu, parą lub elektrycznością.

Naszą istotną jaźnią jest nie ciało, lecz całkowity zespół myśli, chcen i uczuć.

Substancja duchowa, z nich złożona, wypływa z nas i tworzy koło nas atmosferę — od człowieka do człowieka krąży, porusza, oddziaływa. A, jak mówi poeta:

„Co tak odróżnia bogów od ludzi?
To, że z przed bogów biją wielkie fale;
Nas fala wznosi, nas fala dźwiga —
My w niej toniemy“.

W tym oto sensie z ludzi czynić bogów — tego te drobne szkice nauczyć ich pragną.

Wszelka moc prawdziwa polega na sile fal, które od nas i do nas, ku nam i w nas idą. W miarę tego, jak będziemy uczyli się wzbudzać je, potęgować i kierować niemi, będziemy stawali się zdolni w godzinę dokonać więcej rzeczy, niż obecnie w tydzień. A moc ta dzięki wprawie będzie w nas dalej jeszcze nieustannie wzrastać.

W tem i tylko w tem opanowaniu fal duchowych jest źródło wszelkich cudów, magji i sił tajemniczych, o których wspomnienie zachowała nam starożytność. Cud bowiem nie stoi w sprzeczności z naturą, ale z tem jedynie, co my dotąd o natu-

rze wiemy. A ponadmysłowość nie musi jeszcze bynajmniej oznaczać nadnaturalności.

Powodzenie lub niepowodzenie każdego naszego przedsięwzięcia więcej zależy od przeważającego w nas nastroju, niż od czegoś bądź innego — więcej nawet, niż od sił do pracy, od inteligencji, bystrości i pilności. Każdy duch jest zbiorem substancji psychicznej, pochodzącej z nieskończonej otchłani wszechczasów, a na którą składa się doświadczenie i wspomnienia bardzo wielu ciał. Ta substancja psychiczna działa nakształt magnesu. Posiada ona zdolność przyciągania myśli i ze swej strony promieniowania ich ze siebie, a na podobieństwo magnesu przez samo swe działanie coraz staje się silniejszą.

Podobnie jak kawałek zwykłego żelaza magnetyzuje się przez zetknięcie z magnesem, tak i zwyczajny człowiek, pozornie żadnymi nie obdarzony zdolnościami, władny jest przyciągać do siebie siły duchowe i stawać się przez to twórczym z ducha. Jakże zaś prądy będą miały do niego dostęp, to znów zależy od tego, jakie w nim samym tkwią pierwiastki. Jeśli żeń promieniają nadzieja, radość i zdecydowanie, siła,

sprawiedliwość, dokładność i porządek, to z biegiem czasu musi on coraz więcej tych właśnie czynników wbiierać w siebie z otoczenia, a te czynniki są już same przez się częściami składowymi powodzenia w życiu. Wytwarza się wówczas wokół danej jednostki wir magnetyczny w Niewidzialnym, który coraz szybciej doprowadza do centrum siły, zmierzające w tym samym kierunku, gdyż własne pierwiastki składowe danej duszy znajdują się wówczas pozewnątrz niej w przestrzeni i ściągają ku niej tego samego rodzaju pierwiastki z ciał, którychżeśmy nigdy nawet nie widzieli. Ludzie, z którymi mamy w przyszłości się spotkać i którym przeznaczone jest wspomagać nas lub zwalczać, są to ci właśnie, z którymi już oddawna fluidy nasze zmieszały się zdala od naszego ciała.

Gdy myśl stanowcza na swej drodze również stanowczą myśl napotka i gdy takie dwie myśli zawrą z sobą przymierze dla wspólnego celu, to w połączeniu muszą osiągnąć dwa razy tak wielkie powodzenie, niezależnie od tego, czy ciała, przez które działają, pod jednym przebywają dachem, czy też dzielą je morza i dalekie lądy. Lecz kto hodzi w duszy, jako dominujący nastrój, gniew, zniechęcenie lub jakąś inną formę złego samopoczucia, ten na tysiące mil dokoła siebie rozsyła, jako cząstki

realne swej istoty, coś w rodzaju magnesów do przyciągania beznadziejności, małoduszności i zniecierpliwienia, i te jego nieszczęsne własności duchowe zlewają się wówczas z podobnemi do siebie własnościami innych ludzi, a rosnąc przez to i nabierając mocy, sprowadzają wreszcie i stykają z sobą *in persona* tych nieszczęśników takich, co to muszą tutaj szkodzić sobie wzajemnie na zdrowiu i szczęściu.

Jeżeli jesteś w stanie wyrazić i stanowczo, w pogodzie ducha dążyć do określonego celu, na uczciwych zasadach opartego — (brzmi ci to może, jak kazańko, traktacik umoralniający?... chwileczkę cierpliwości, to tylko pozory) — w takim razie wprowadziłeś w ruch największą siłę milczącą, jaka tylko wogóle istnieje wśród tych, które są zdolne ustanowić łączność pomiędzy tobą a okolicznościami, ludźmi i stosunkami, potrzebnymi ci do urzeczywistnienia twego celu. Jeśli jednak oparłeś plan swój na czym innem, niż na uczciwości, owa siła duchowa, raz w ruch wprowadzona, sama przez się dalej działać będzie, tylko że jej rezultat ostateczny mniej się korzystny dla ciebie okaże, niż gdyby cel twój pozostawał w zgodzie z najwyższymi twymi ideałami etycznymi.

Zamierzasz cel swój osiągnąć oszustwem i podejściem? Zapewne — i tak można. Będziesz w takim razie,

w moc tego samego prawa i na tej samej drodze, przyciągał do siebie myśli oszukańcze i podstępne, jako wysłanniczki innych ciał — ciał przyszłych towarzyszków twoich i współwinnych; albowiem, skutek naturalnego prawa przyciągania, i nieczyste myśli również gromadzą się w skupiska, ułatwiające ich działanie i... wykrycie. Dlatego to w ostatecznym rezultacie oszuści i nicponie zawsze jakoś szkodzą sobie wzajem. Sporo ludzi na świecie jest wprowadzić nie od tego, aby kiedyś, czasem uciec się w interesach do metod wątpliwej wartości moralnej, skoro tylko im one rokują powodzenie; wszelako w ściśle prywatnych swoich, osobistych sprawach stanowczo wolą oni mieć do czynienia z ludźmi szlachetnego ducha — poprostu dlatego, że tacy ludzie zawsze są tymi, co dają, co innych pobudzają naprawdę do czynu i obdarzają szczęściem, no i... dlatego także, że się z nimi nic nie ryzykuje.

To przyjemne i pocieszające odróżnianie pomiędzy stosunkami w interesach a osobistymi nie da się jednak *à la longue* utrzymać ze względu na powyżej sformułowane prawo obcowania psychicznego. Prądy myślowe nie trzymają się godzin biurowych, a stosunki

prywatne muszą w tych warunkach w końcu też znicponieć.

Oszustwo, popełniane jedynie z przyjemności oszukiwania jest niewątpliwie rzeczą stosunkowo rzadką. Najczęściej służy ono tylko za środek do celu. Gdyby się przeto stało dla wszystkich oczywiste, że właściwe zużytkowanie wirów woli, prądów energii w wolnym oceanie myśli prowadzi do powodzenia równie szybko, jak oszukiwanie, a przytem daje wszystkie korzyści promiennej, radosnej twórczości, wówczas doprawdy niewiadomo, dlaczegooby ludzie nie mieli dać pierwszeństwa metodzie uczciwej. Tak, jak dziś sprawy stoją, mają oni istotnie do wyboru tylko albo tępą, bezbronną i bierną przyzwoitość, albo też chytre, ruchliwe oszustwo. Nie ośmielają się poprostu wierzyć samym sobie, aby byli zdolni postępować przyzwoicie, a jednocześnie twórczo w dziedzinie wartości, promiennie, genialnie. Większość postępuje źle poprostu i wyłącznie z fałszywej skromności. A przecież ta promienna i wartościowo-twórcza, genialna porządność — (jak o tem tutaj właśnie chcemy przekonać wszystkich) — nie jest bynajmniej

jakimś darem dobrej wróżki, zsylanym dla uprzywilejowanych od samej kolebki; jest ona, przeciwnie, czemś jednakowo dla wszystkich dostępnym — czemś, co osiągnąć można najzwyczajniej w świecie, dzięki białej magji spragnionej tęsknoty.

Zdarza się, że czasami ludzie zupełnie młodzi w oszałamiająco krótkim czasie, napozór wręcz z dnia na dzień, osiągają w życiu zdumiewające powodzenie. Pochodzi to stąd, że młoda wyobraźnia, zmierzająca wprost do celu, działa w świecie duchowym w sposób o wiele wyrazistszy, nie ulega bowiem żadnym załamaniom; mniej bruździ jej jeszcze kłamliwe późniejsze pseudo-doświadczenie, i stąd jest ona w stanie ze świata złud różanych przenieść niezmącone do rzeczywistości, jak brzoskwinia, puszką dziewiczym okryte, marzenie dni dziecięcych, oddawna wyśnione, a nikomu nieznane, tak że nie zdołał jeszcze porysować go i splugawić pazur żadnego „wychowawcy“. Wszystko bowiem, co w jasnym, słonecznym marzeniu, w zwycięskiej i promiennej mocy postanawiamy sobie niechybnie osiągnąć, staje się przez to natychmiast de-

likatnym myślowym zarysem przyszłej budowli urzeczywistnienia, mglisto majaczącej w dalach niewiadomego życia, i nagwałt zaczyna przyciągać do siebie wszelakie siły twórcze — lubych pomocników swoich. Eter wkoło nas roi się od takich subtelnych konstrukcyj, od połyskujących marzennych zarysów niezbudowanych jeszcze gmachów rzeczywistości. Lecz jakże z nich niewiele wznosimy do końca — my, ludzie słabi i niekonsekwentni, którzy jednakże uważalibyśmy za niemożliwe i jawne szaleństwo, za marnotrawienie naszych kapitałów, gdybyśmy mieli zostawić niedokończoną budowę choćby jedyne go tylko drapacza niebios. A jednak na te dzielne i żwawe minutki, co z taką wesołą i beztroską radością krzątają się dokoła nieocenionego dla nas skarbu, wysyłamy, niczem na wrogów, wciąż odnowa niszczące zastępy zgryźliwości, i zwątpień, i kwaśnych humorów, aż wszystko znowu z ziemią „szczęśliwie“ zrównamy. A wtedy znów gdzieś indziej wszystko zaczynamy budować od początku, klnąc i złorzeczając głośno na nasz „brak szczęścia“.

Gdybyż ludzie nareszcie zechcieli raz zrozumieć, że wznoszenie zamków na lodzie aż do końca jest najsolidniejszym, realnym zajęciem,

a grunt pod tę budowę dostaje się nadomiar zupełnie zadarmo!

Ten, kto dostęp do siebie daje nastrojowi (a to znaczy myśli), że jakieś przedsięwzięcie nie może mu się powieść, ten przez ów nastrój, który go tak otacza, jak mglista powłoka jądro komety twarde, będzie przyciągał ku sobie z przestworzy inne podobnie tchórzliwe, małoduszne, niewolnicze myśli z rodzaju „ja nie mogę“ i będzie przez to zbliżał się fizycznie do słabych, niewolniczych ciał, przed którymi zazwyczaj myśli podobne rojnie chadzą przodem; będzie działał na szkodę słonecznych swych przyjaciół, będzie niszczył sobie zdrowie, umniejszał talent przedsiębiorczy, aż wreszcie ograniczy swoje stosunki osobiste tylko do tych ludzi, którzy się wzajemnie o zgubę przypawiają.

Albowiem siłą myśli posługiwać się można zupełnie tak samo, jak lokomotywą: dać się jej zawieźć w cudowne okolice, albo kark na niej skrzyć — jak komu się podoba.

Kto w cichości serca niezachwianie żywi jakieś pragnienie stałe, kto zdecydował w duszy, że zwyciężyć musi, ten z niewidocznie przed nim falującego Oceanu Ducha ściąga ku sobie siły pomocnicze, z równą niezawodnością wzmacniające jego początkowy zmysł, jak zarodek z krwi matki bezwiednie, a przecież planowo wysysa te wszyst-

kie pierwiastki, których mu właśnie w każdym danem stadium rozwoju potrzeba.

Chcącemu cały wszechświat jest, że tak powiemy, placenta, macierzystem łonem jego czynu.

Przez „siły pomocnicze“ rozumiemy przede wszystkim duchową płodność, czyli wciąż wzrastającą zdolność wynajdywania nowych dróg, nowych środków: „coś“ nam przychodzi na myśl... „coś“ „się“ urzeczywistnia... Mowa nasza fakt ten zna już od bardzo dawna, i gramatycznie wszyscy zupełnie prawidłowo tych „coś“ i tych „się“ używamy — gramatycznie, powiadam, ale nie praktycznie, w czynie.

„Siły pomocnicze“ będą z kolei polegały dalej na wciąż potęgującej się umiejętności napotykania zawsze najodpowiedniejszego człowieka do poparcia i urzeczywistnienia naszych celów.

Nie trać nigdy czasu na wyszukiwanie tych sił i osób pomocniczych za pośrednictwem swych cielesnych zmysłów. Pozwól, niech to za ciebie załatwi podświadomość, a ty staraj się tylko podtrzymywać w sobie odpowiedni nastrój. Przyszła matka również zostawia zarodkowi w łonie swem możliwie niekrępowaną wolność, aby mógł się rozwijać według tajemniczych, przyrodzonych praw

swych, które nareszcie sprawią, że ujrzy światło dzienne. Ona sama nic, tylko ma być „przy nadziei” — „dobrej” lub jeszcze lepiej „radosnej nadziei”. Tak też i duch, gdy mocnym ciężarny jest zamiarem.

Myśl nieustannie, że „postanowione!”, żeś zdecydowany; myśl nieustannie: „Naprzód!” — nic, tylko wciąż myśl o tem, i to nie tylko mózgiem, lecz sercem, kórką każdą twego ciała, każdym twoim ruchem; a myśl ta zrodzi siłę, musi ją zrodzić w tobie taką, że równie pewnie, jak żóraw okrętowy podnosi swój ładunek, wydzwignie ona wreszcie mocne twe zamiary z głębin Niewidzialnego ku rzeczywistości.

Moce, pochodzące z tego Niewidzialnego, a duchowi naszemu przyrodzone, będą też nieustannie działały i wtedy, kiedy ciało uśpione bez pamięci leży: „swoich Pan obdarza we śnie” — budzą się i widzą drzwi wszystkie przed sobą otworem stojące; widzą, jak nowe plany, sposoby i metody ku umiłowaniem przez nich celowi zgodnie wiodą. I dopiero widok tych nowych dróg — sposobów ciała nasze w ruch wpręża, nikt bowiem nie może usiedzieć w bezczynności, gdy widzi przed sobą ziszczone w żywym kształcie wszyst-

kie swe pragnienia; nastaje dlań niechybny czas działania, czas wzięcia się do pracy szybką i pewną dłonią.

Lecz z drugiej strony, dzięki nieumiejętnemu zachowaniu się, można już, zanim do takiego dojrzało się czynu, być tak znużonym i tak na ciele wyczerpanym przez bezmyślne uganianie się ze „sprzyjającymi okolicznościami”, że zbraknie nam siły i świeżości ducha, aby godnie przyjąć ową ideę zbawczą, kiedy naprawdę przyjdzie. Wszelkie zaś powodzenie w interesach opiera się, jak wiadomo, na ciągłym przypływie nowych planów, pomysłów, kombinacji.

Nasze niewidzialne „ja” używa naszego ciała do spełniania czynności materialnych zupełnie tak samo, jak, dajmy na to, przy ścinaniu drzewa drwal posługuje się siekierą: gdy mianowicie skończy, odkłada ją na bok i idzie na przechadzkę — korzysta z wolnej chwili.

Nasze „ja” duchowe — ten wolny zespół myśli, dążności i uczuć — przechadza się podobnież swobodnie i bez troski po przestworzach bytu, gdy ciało leży we śnie; to „ja” zdolne jest wówczas osiągnąć całkowity rozwój swej istoty, będąc przyciągane i odpychane przez inne jaźni, stanowiące, jak i ono, ośrodki zgęszczonego ducha w nieskończoności eteru psychicznego.

Wprawdzie myśl nasza i na jawie również dzia-

ła na naszą korzyść lub niekorzyść, czy to zdala czy zbliska, u tych, ku którym ciąży; jednakże jej siła wtedy, kiedy ciało leży bezwładnie pograżone we śnie, jest o wiele większa, gdyż mniej ją wówczas krępują te drobne codzienne przeszkody, konwenanse i przesady, od których nie jest zdolna oswobodzić się całkowicie nawet najtęższa i najdzielniejsza wola.

Stąd też, jak się zdaje, o wiele jest lepiej nie przywiązywać na jawie zbyt wielkiego znaczenia właśnie do tych, a nie innych osób, i nie upierać się przy ich wyłącznem współdziałaniu, nie wpłatać ich z nadto do naszych snów za dnia, ponieważ „ja” nasze, wyzwolone we śnie, posiada zakres działania o wiele większy i, że tak powiemy, większe „koło znajomych”, niż wtedy, gdy czuwamy. Pochłonięci manjacko kilkoma osobami, cały nasz fluid ku nim skierowujemy i może nie dajemy mu przez to łączyć się z innymi, o wiele potężniejszymi, a jeszcze nam nieznanymi pomocnikami, albo przynajmniej od nich go odciągamy: szarpie się go w dwie strony zamiast, aby podążał prosto, jak strzała, do celu.

I jeszcze jedna sprawa jest tu nie mniej istotna: duch owych nam nieznanых pomocników jest we śnie również wolniejszy i silniejszy; zaleca się przeto, o ile możliwości, przeznaczając te same godziny na spoczynek; kto z nocy dzień sobie robi,

tego omijają najważniejsze rendez-vous w Nieświadomem.

Sympatja jest siłą. Istnieje przysłuchiwanie się czynne temu, co ktoś mówi, które na mówiącego działa zapładniająco; a życzliwość jednego jedyne go człowieka bez cienia szyderstwa ni zazdrości jest prądem, niepowstrzymanie naprzód popychającym naszą sprawę, a którego wartości na pieniądze określić się nie da. Z tej samej racji nieżyczliwość jest wrogim żywiołem oporu, który nakształt niewidzialnego muru przeciwstawia wszystkim dążeniom twoim ten, kto ją ku tobie choćby tylko w skrytości ducha żywi, a nigdy żadnem słówkiem, ani spojrzeniem nawet przeciwko tobie nie wystąpił. I tylko nieprzerwany prąd uprzejmej życzliwości, z ciebie wypływający, zdolny będzie szczęśliwie odwrócić od ciebie złe tego oporu skutki. Dlatego to jest tak niebezpieczną rzeczą robić sobie wrogów, choćby z powodów najsluszniejszych.

Każde burzliwe zgromadzenie, każda kłótnia w rodzinie, każde wystąpienie człowieka przeciw człowiekowi przepełnia Niewidzialne substancją niszczącą. A kto sam przypadkowo jest podrażniony jakimś bodajby drobiazgiem, automatycznie podstawia sam siebie, jak pod kierunek wiatru, pod działanie tej właśnie niszczącej substancji;

każdy najmniejszy zły humor zostaje natychmiast ze wszystkich stron obficie podsycony, tak że o wiele łatwiej jest weń wpaść, niż wyjść zeń. Rada jest na to tylko jedna: osiągnąć wprawę w odwracaniu myśli. W takich złych chwilach należy natychmiast zmienić kierunek ducha, pozwalając sobie conajwyżej na drobną przyjemność obejrzenia się za siebie przez ramię, jak też to wygląda ta wszystka złość ludzka, która miała chętkę podchwycić nasz zły humor, podsycić, podtrzymać go z hałasem, a teraz oto stoi razem z nim za drzwiami, jak wodą zlany pudel.

Gdy uprzejmość, sympatja i dobra wola spotykają się z sobą, aby przyjacielsko pogawędzić godzinę na określony temat w określonym celu, promieniuje wówczas od takiej oazy wyższego życia fluid, który w każdym umyśle, blisko będącym czy daleko, budzi i wprawia w drżenie pokrewne struny, nowe zainteresowania do życia powołuje albo odświeża dawne i, stosownie do tego, jak kto jest zdolny wyczuwać i przyjmować myśli, zachęca do powzięcia podobnych zamiarów. Albowiem żadna myśl na świecie nie jest całkowicie i bezwzględnie oryginalna, żadna nie jest odkryciem jednego człowieka. Ta sama idea w ciągu jednej godziny w ty-

siącu mózgów — więc w tysiącu odcieni, lecz w gruncie jednakowa — pojawić się może. Jej odkrywczą zaś zwie się tę antenę ludzką, która jest już właśnie dość czule nastrojona na pewien specjalny rodzaj dotąd jeszcze niepochwyconych fal duchowych. Harmonijna wspólnota ludzi jednakowo myślących działa tu jak szczególnie potężny nadawca, wysyłający górą po nad wszystkim fale nie do odparcia, nie do pokrzyżowania.

Kiedy w tej harmonijnej wspólnocie duchowej omawia się zgodnie jakieś ulepszenie w tej czy innej maszynie, jakiś postęp techniczny, coś słowem, co pożytek ludziom przynieść może, wówczas drgania nad tem debatujących myśli, falami kulistemi rozchodząc się dokoła, w niezliczonych istotach budzą wkrótce sympatję, zainteresowanie i tęsknotę ku dojrzewającej tej idei. Ludzie zaś, w których ta sama, co w nas, zapala się idea, stanowią zastęp naszych pomocników, odbiorców, nabywców, interesantów — a może i rywalów; jest bowiem rzeczą zupełnie możliwą i nawet zapewne nie do uniknięcia, iż wszystkie te niczem nieskrępowane prądy myśli w przestworzach świata, trafiając na mózgi ludzi obcych, mogą być i przez nich również zużytkowywane. Powietrze jest pełne rzekomych sekretów. Przed prawem tem nie ujdzie największy nawet sknera duchowy i od-

ludek, i tylko przez samotnictwo swoje pozbawi się poparcia sił współprac, któreby w razie cichej, ale świadomej wspólnoty z nimi, mogły o wiele prędzej zamierzony przezeń czyn zrealizować. Kto więc chce dokonać jakiegoś wynalazku, urzeczywistnić jakiś plan, zrobić interes lub coś podobnego, ten niechaj bez wytchnienia przywołuje w sercu swem na pomoc przyjazne współdziałanie najlepszych z pośród nieznanym mu ludzi, a w moc przyciągającego oddziaływania pragnień przybędą do niego, wraz z nimi zaś zstąpi nań i ten stan duchowy, to zamięliwienie do danego dzieła, którego potrzeba, by je urzeczywistnić. Ubóstwo pochodzi przeważnie z dwóch przyczyn: z lęku przed ludźmi i z obawy odpowiedzialności.

Na powodzenie zaś składają się dwie rzeczy różne i odrębne: co innego jest stworzyć jakąś nową wartość artystyczną albo dokonać jakiegoś wynalazku technicznego, a co innego — znaleźć dla nich uznanie u ludzi. Kto chce mieć powodzenie, ten obie te umiejętności posiadać powinien. Sztuki pozyskiwania uznania ludzkiego można się nauczyć, trzeba tylko zająć w wyobraźni własnej należne sobie miejsce odważnie, uczciwie i z nieugiętością wobec zakusów ludzkich, nie kłócąc się z nikim, nie sprzecząc i nie prowadząc wojny na argumenty. Tak postępując, nawet człowiek niepewny siebie i przygnębiony już po niedłu-

gim czasie zauważy, iż tego rodzaju ćwiczenie duchowe dodaje mu męstwa i sił nerwowych, a i kształci też jego takt w postępowaniu oraz potęguje skłonność do nawiązywania stosunków z najrozmaitszymi ludźmi, do brania się poprostu za bary ze światem i do zdobywania na nim tego, co nam się należy. W świecie jest bowiem zawsze popyt na lepszy towar, na trafniejszy pogląd, na większą umiejętność; kto więc jest przekonany, że z tem czemś lepszem do ludzi przychodzi, ten ma zarazem obowiązek uznanie sobie u nich zdobyć.

Znosić pokornie krzywdę — to może jeszcze bardziej godne jest potępienia i pogardy, niż krzywdę wyrządzać.

Pozwolić sobie ukraść zasługę jakąś, wynalazek czy udoskonalenie, toż to znaczy przeszkodzić temu, co je nam kradnie, aby i on ze swej strony także tworzył nowe, swoje wartości dla świata; a przecież wszelka istota po to żyje, aby z bogacała świat, a przez to i siebie.

Każdy staje się takim, jakim siebie samego zwykł najczęściej widzieć. Nikt nie powinien pozwalać, aby go kształtowali inni według tego obrazu jego, który on i mają, a więc tak, jak i m

się to najdogodniejsze zdaje. Że jednak takie urabianie bliźnich według naszego własnego o nich zdania jest na porządku dziennym, tego najlepiej dowodzi istnienie ideału t. zw. „grzecznego“ dziecka albo „cnotliwej“ kobiety. Co jest prawdziwą „kobiecością“, tego dopiero wtedy się dowiemy, gdy kobiety zaczną być wreszcie same sobą; świat stanie się wówczas nagle dwa razy bogatszy, niż jest dzisiaj, kiedy to mężczyzna — ten mężczyzna, który miałby przecież conajwyżej prawo określać tylko własny ideał „męskości“ — według swojego widzi-mi-się rozstrzyga również bezapelacyjnie o tem, co jest prawdziwą „kobiecością“ i ten swój kiepski ideał kobiety narzuca kobietom samym.

Ludzie ostrożni, wszystko przewidujący i lękający się wszystkiego, narażeni są ciągle na niepowodzenia, gdyż ten, kto się wiecznie liczy z trudnościami, ten sam je sobie stwarza. Jest to jednak przyzwyczajenie tak w ludziach zakorzenione, że wydaje się bodaj nie do przezwyciężenia.

W przeciwnościach losu nie masz nic do zrobienia, jak tylko skierować duch nakształt magnesu ku tej stronie, skąd przyść powinny siły, sposoby i plany wybrnięcia z trudności. Gdy nadasz ciału swemu równowagę i spokój skupienia, wychy-

ną na powierzchnię twojej świadomości natchnienia, z tak otchłannej głębiny pochodzące i tak wyraziste, że dadzą się one całkowicie w czyn wprowadzić. Jeśli zaś brakuje ci czasu do tych duchowych ćwiczeń i skupienia, to pożądamy ich tylko spokojnie, uporczywie. Okazja wreszcie przyjdzie, że będziesz mógł zarabiać na życie bez tylu godzin harowania i mokołu na dzień. Przyjdzie ona w moc tego tajemniczego przyciągania się wzajemnego ludzi i rzeczy, które obdarza każdego wedle siły jego pragnień i wytrwałości w pożądaniu.

W ten oto sposób przychodzi na nas wszystko, co nas spotyka w życiu, zarówno złe jak dobre; albowiem to właśnie, czegośmy zrazu płomiennie pożąдали, może się dla nas złem okazać. Dlatego też pesymiści są zdania, że bezpowrotnie stracone jest to tylko, co już zostało osiągnięte. Kto jednak nie żywi w sobie pragnień na chybi-trafi, ale pożąda przede wszystkim mądrości oraz poznania tego, w czem spoczywa dla niego szczęście istotnie długotrwale, tego ominą rozczarowane „dni jutrzej-

sze“ jego ziszczonych pragnień — „*les lendemains du bonheur*“.

Kiedy nadejdzie wreszcie ten czas upragniony, że będziesz miał dla siebie cztery, pięć godzin dziennie, nie poświęcaj ich zaraz na zajęcia uboczne, aby zarobić kilka dolarów dodatkowo, bo może ten czas wolny stanie się dla ciebie pierwszym stopniem do wyższego życia wewnętrznego. Czas wolny jest twórczy. Nie lękaj się rozrywki. Obecna przyjemność nosi w swoim łonie przyszłe powodzenie. Zamiary, z głębi Nieświadomego zrodzone z wesołości, same przez się ciało za sobą pociągają, aby je w czyn wcieliło.

Dobra posada z prawem do emerytury w tej czy innej gałęzi pracy nie jest to droga do trwałego i rosnącego z czasem powodzenia. Tylko stanowisko wolne i odpowiedzialne, gdzie jest się samemu czynnikiem kierującym i decydującym, może nam zapewnić istotne powodzenie. Tylko odpowiedzialność pozwala na rozwinięcie wszystkich sił, a z nimi — na pełnię szczęścia.

JAK WYRABIAĆ W SOBIE ODWAGĘ

Odwaga i przytomność umysłu są tem samem. Podobnie — tchórzostwo i niepanowanie nad sobą.

Źródłem tchórzostwa jest podrażnienie, pewien wewnętrzny niepokój i płynący zeń zbyt ni, nieopatrzny pośpiech. Wszelkie zaś rodzaje i stopnie powodzenia polegają na odwadze fizycznej i duchowej. A znów niepowodzenie jest identyczne z zastraszoną nieśmiałością.

Odwagę można ćwiczyć w sobie o każdej godzinie, tak że co godzina będzie się w nas wzmacniała, przyczem osiągać będziemy podwójne zadowolenie z siebie: bo nietylko z tego, żeśmy oto czegoś dokonali, ale i z tego, że przez sam sposób, w jakiśmy to zrobili, dorzuciliśmy znowu do skarbcza swego ducha atom substancji odwagi. W tym celu należy tylko kultywować w sobie to, co zwie się *rozważą* (a czego nie trzeba, broń Boże, utożsamiać z powolnością i wygodnisiostwem).

Gdzie pośpiech, tam zawsze też i lęk, obawa. Kto śpieszy się na pociąg, czyni to z obawy, że nie pojedzie; a ten lęk pociąga za sobą strach przed

wszystkimi następstwami pozostania. Kto pędzi na rendez-vous lub na przyjęcie, śpieszy się przed szkodliwymi skutkami spóźnienia. Zdumiewająca to rzecz, ile „porcyjek“ lęku i obawy codziennie nam wychodzi, ile kapitału duchowego dzień w dzień wydajemy pod postacią „drobnych“ strachu. Te małe psychozy, nieświadomie a ciągle przez nas podsycane, mogą do tego stopnia człowieka opanować, że poprostu nie może on bez przerwy nie lękać się czegoś, co wcale mu nie grozi. Pędzi na przykład za tramwajem, z przystanku ruszającym, jak za czymś na wieki utraconem, co nigdy już nie wróci — zdyszany, z zawziętości oblany zimnym potem i tak rozgoryczony, jakby pochował właśnie kogoś najdroższego, gdy tymczasem następny tramwaj nadejdzie za chwilę, za jakieś najdalej pięć do dziesięciu minut. Ale obawa, że trzeba będzie ote te pięć minut czekać, urasta do rozmiarów potwornej góry, jak te stosy poduszek, duszących nas w gorączce, i możliwość czekania straszy nas, jak zmora.

Taki katastrofalny nastrój, gdy raz się w kimś zagnieździ, dzięki przyzwyczajeniu zaczyna nieodstępnie zawsze mu towarzyszyć — podczas jedzenia, na spacerze, przy zajęciu, podczas „wypoczynku“ — i ogarniętemu nim coraz bardziej uniemożliwia zachowanie jasnej i przytomnej myśli. Uczucie zaś, leżące w podłożu całego tego zgonio-

nego, udręczonego nastroju i niespokojnych, zbyt pośpiesznych myśli — to najzwyczajniejszy w świecie strach. Strach bowiem jest tylko inną nazwą dla niezdolności do panowania nad procesem rodzenia się w nas myśli. Z naszego bezradnego, rozklekotanego „ja“, niczem z błotnego geyzera, wytryskuje — potrzebnie czy niepotrzebnie — cała jego zawartość, obryzgując dni nasze i pokrywając je szarą skorupą.

Tego rodzaju bezwiedne, podświadome ćwiczenie się w obawie rodzi w nas taki właśnie chroniczny stan duchowy, w którym bezbronni stajemy się ofiarą panicznego strachu przy ła da okazji i sami sobie stwarzamy dobrowolnie rozczarowania i zawody nawet tam, gdzie zupełnie mogłoby ich nie być. Kto bowiem hoduje w sobie bojaźń w jakiegokolwiek formie, toruje w duszy drogę, którą następnie w ciężkich momentach losowych wdziera się do niej przerażona zgroza. Kto dopuszcza do tego, że przez pół godziny siedzi i czeka z lękiem w sercu, czy też aby auto, mające odwieźć go na kolej, przyjdzie na czas, ten staje się przez to nie tylko o wiele mniej odporny na pospolite trudności i przeszkody, które może go właśnie w podróży tej czekać, ale — i co ważniejsze — na wszelkie istotne niebezpieczeństwo, jak podczas katastrofy kolejowej czy okrętowej, które zastanie

go pozbawionego potrzebnej w takich chwilach całkowitej przytomności umysłu.

Albo na przykład taka scenka: Pisze się, pracuje, myśli o czemś niesłuchanie przykuwającem uwagę, chce się, by nam nie przeszkadzano; nagle spada na ziemię bestja cyrkiel, pióro, czy jakiś inny nieodzowny drobiazg. Wściekli, schylamy się po niego ruchem nieudolnym i niezręcznym, bo niezadowolonym, jako że duch nasz bawi zupełnie gdzieindziej. Dla jakiegoś tam głupiego cyrkla czy ołówka nie chcielibyśmy się odrywać od zajmującego nas tematu, staramy się przeto podnieść przedmiot, kontynuując poprzednie zajęcie. Oczywiście, że przez to nasz ruch schylenia staje się niezdarny, bo niechętny, bo nie opłaca nam się na tę krótką chwilę przenosić do niego tej ilości energii zajętego czem innem ducha, którąby nim właściwie zaprzętnąć należało. A każda nasza czynność — i właśnie najwyklejsza więcej od innych nawet, ponieważ jest najczęstsza i stanowi dla nas poprostu treść dnia powszedniego — powinna być radością i może nią być zawsze, byle ją wykonywać z wdziękiem, bystrością i precyzją każdego ruchu wszystkich potrzebnych do niej mięśni.

Kto myśli te wyśmieję, twierdząc, że są „dziecinne“, kto nie zechce na serjo traktować tego szkicu o podnoszeniu cyrkla, który spadł ze stołu,

ten niechże raz to sobie wyraźnie uświadomi, jakie świadectwo ubóstwa duchowego wystawia sobie człowiek, który nie chce zaryzykować przedstawienia swego aparatu myślowego dla dokonania jednodominowej pracy! Po pierwsze, składa on przez to dowód, że myśli jego trzymają się tak słabo jedna drugiej i tak płyciutko są w nim ugruntowane, iż z minuty na minutę nie może być pewny, czy jest jeszcze genjuszem, czy już kapuścianą głową; po drugie zaś, pozwala wyciągać nader oplakane wnioski co do jego t. zw. równania osobistego. To wyrażenie fachowe psycho-fizjologów oznacza miarę bystrości umysłowej albo, krótko mówiąc, to, co Anglik nazywa „bright“, berlińczyk „Helle“, a łobuz warszawski — dodajmy od siebie (przypisek tłumacza) — „kapą“ lub „pomysłunkiem“. Jest to czas, którego potrzebuje wrażenie, aby, idąc od obwodu zmysłów, uświadomić się ostatecznie w mózgu. Do mierzenia tego czasu psycholog posługuje się częstokroć zdarzeniami astronomicznymi, na przykład przejściem jakiejś gwiazdy przez dany punkt. Przejście to, którego moment obliczono zgóry na podstawie formuł matematycznych, jest automatycznie rejestrowane przez odpowiednio nastawione przyrządy; jednocześnie zaś każe się komuś obserwować gwiazdę i zaznaczyć moment jej przejścia przez ten sam dany punkt za

pomocą naciśnięcia na guziczek specjalnego aparatu. Różnica w czasie między automatyczną rejestracją a spostrzeżeniem danej osoby nazywa się jej równaniem osobistym i tem jest mniejsza, im szybciej kto spostrzega, iż moment naciśnięcia guzika już nastąpił. U ludzi wysoko stojących pod względem umysłowym wynosi ona zaledwie nieznaczny ułamek sekundy; u cymbalów — 20 sekund (mierzone innemi metodami), a u niejednego fachowca — nawet 22 sekundy. Wybredny czytelnik, którego równanie osobiste każe mu uważać, że nie opłaci mu się ruchem, wykonanym jak się należy, podnosić nożyczek, niechże teraz sam sobie zechce wyciągnąć wnioski ze swych drwin z tych myśli.

Zdolność błyskawicznie szybkiego przerzucania swych sił duchowych z jednego ośrodka do drugiego rośnie — jak zresztą wszystko, do czego raz się uważnie zabierzemy — przez odpowiednie ćwiczenie i wprawę.

Kto pośpiesznie i niedbale podnosi z ziemi szpilkę lub zawiązuje sznurowadła, robi to nietylko dlatego, że sama ta czynność jest dla niego przykra, ale również z obawy, że przez ten właśnie moment straci jakąś część przyjemności, której skądinąd wówczas doznaje. A więc już znów oto rozwarł drzwi swego serca na prądy lęklivosti, już przejął się obawą, że go coś ominie.

Hodowanie w sobie odwagi zaczyna się od dba-

nia o roztropność w tych najpospolitszych codziennych drobnostkach. Odwaga i roztropność tak samo ściśle są z sobą związane, jak lęk i pośpiech. Kto nie ćwiczy się w panowaniu nad swemi siłami i w zręczności ruchów na rzeczach najdrobniejszych, nie będzie umiał władać sobą i w rzeczach większej wagi.

Gdy poddać analizie poważniejsze formy strachu, staje się widoczne, że człowiek przeleknięty zawsze pragnie zmierzyć się naraz ze zbyt wielu rzeczami, których się obawia. Rozłożyć przedmiot strachu na względnie niewielkie części i przezwyciężać każdą z kolei oddzielnie, nie wydrukując na to więcej siły, niż za każdym razem niezbędnie potrzeba — oto właściwa droga. Wraz z wyrabianiem się w nas przyzwyczajaniem do postępowania w ten sposób, czyli stopniowo, w każdym niebezpieczeństwie, wzrasta też i zdolność błyskawicznego zwracania wszystkich skoncentrowanych sił naszego ducha w kierunku pożądanym. A siły te ćwiczyć należy w sobie właśnie na najpospolitszych sprawach, aż panowanie nad sobą stanie się naszą drugą — nie, pierwszą naturą.

Kto udaje się na rozmowę, której się bardzo lęka, z osobą wyniosłą, szorstką i nieublaganą, przeżywa zazwyczaj już napróżd w wyobraźni całą scenę, stawiając się zgóry w położeniu dla siebie ciężkiem i kłopotliwym. Przypuśćmy, że już zrana, kiedy

się ubierał, wyobrażał sobie tę nieprzyjemność, która go oto czeka... Ale przecież wtedy miał przed sobą inne, ściśle określone zadanie: miał się ubrać, i to w dodatku dobrze, właśnie ze względu na ową rozmowę. A może zajmowała ona jego myśli i podczas jedzenia; ale wszak naówczas właśnie jedzenie z zadaniem jego było, a nawet jeść powinien był specjalnie mądrze, specjalnie uważnie, aby jak najwięcej pożytku z posiłku dla siebie wyciągnąć. Im spokojniej bowiem, z im większym smakiem i zadowoleniem spożywa się potrawy, tem gruntowniej przyswaja je sobie organizm, czyniąc krew naszą tem zasobniejszą w siły. To więc powinno było być drugą jego troską. A może po drodze, idąc na tę rozmowę, już naprzód nią się dręczył; tymczasem wówczas zadaniem jego było raczej postarać się o to, aby ta droga jak najwięcej przyjemności mu sprawiła. I tak oto, jak najkorzystniej wyglądając, najedzony, wolny od wszelkich dolegliwości natury fizycznej, po ożywczej przechadzce zdrowiem tryskający — o takiej postaci powinien był stanąć przed owym zadaniem, którego się lękał.

Przyjemność jest wynikiem odpowiedniej innerwacji; z każdej czynności zrobić można małe arcydzieło przez właściwe zastosowanie podniet i hamulców, przeplatających się z sobą, jak w czarodziejskiej tkaninie, w duchu ludzkim. Tymczasem,

gdy wysyłamy siłę życiową tam, gdzie nie ma ona nic do wykonania, ściągamy na siebie z konieczności — prędzej czy później, wskutek zubożenia danego momentu, w którym będzie nam ona najbardziej potrzebna — niezadowolenie i udrękę.

Kto, jedząc, ubierając się, spacerując, jest myślą gdzieindziej, ten robi z tych czynności coś, co go krępuje i jest mu nieprzyjemne — ba! w końcu nieprzyjemnością musi stać się dla niego wszystko, gdy tak się będzie dłużej ćwiczył i trenował w stawianiu woli swojej wprzecrzeczywistości. Do czego dążą wszyscy? Do szczęścia. A szczęście — to znaczy, że zawsze i wszędzie jest się niezależnym od nikogo i niczego, panem swoich myśli i przez to ma się możliwość stwarzania nastrojów. Lecz do tego dojść można tylko przez trening w drobnostkach. Aby armja odbyć mogła z całą ścisłością i punktualnością ogromne manewry, trzeba potemu, aby każdy poszczególny żołnierz pilnował swego miejsca w szeregu i dotrzymywał innym kroku. Tylko wiedza, na zawołanie będąca do rozporządzenia, jest istotną wiedzą: tylko umiejętność działania w każdej chwili — istotną umiejętnością. Gdy jakaś myśl przychodzi mi do głowy zawsze tylko we środek wieczorem, a mnie raz kiedyś potrzeba

jej będzie niespodzianie we wtorek rano, to na jedno wychodzi, jakgdybym był w tej sprawie zupełnie bezmyślnym. A życie przecież ciągle składa się z samych takich rzeczy najmniej spodziewanych i właśnie tem więcej taki nosi charakter, im bardziej jest żywe; kto chce ni z tego ni z owego mieć jakieś popołudnie zagwarantowane przed powszechną zmiennością, ten wogóle nie wie, czym jest szczęście. Czuć, że się żyje — oto istota szczęścia! że się żyje całą swą wytężoną jaźnią, w każdym momencie i na każdym miejscu, kiedykolwiek, gdziekolwiekbyśmy się znaleźli. Stąd będzie rzeczą zupełnie niewłaściwą zawiązywać sznurowadło i myśleć o czymś o milę odległem — temperować ołówek i grzebać się myślą w jutrzej-szych swych kłopotach. Zastarzałe przyzwyczajenie do myślowego włóczęgostwa, błąkanie się myślami wiecznie zdala od tego, co się właśnie robi, sprawia, że jest nam coraz trudniej przywoływać z powrotem energję myślową i skupiać ją skutecznie we właściwym punkcie; bo nawet gdy na wezwanie nasze raczy się ona pofatygować, nie jest już wtedy zdolna funkcjonować jak należy.

Ale i odwrotnie, wszelką dowolną sumę energii można tak długo i tak intensywnie skupiać na danej sprawie, jak komu się podoba; a wtedy jest się panem wszelkiej myśli, wszelkiego nastroju, władcą snu i marzeń. Zresztą to wszystko jest zaledwie

niesłychanie drobną cząstką tego, co duchowi ludzkiemu osiągnąć przeznaczono. Osiągalne jest bowiem wszystko, co tylko wymyśli wyobraźnia. Władza nasza jest tutaj bez końca i granic. Kroki zaś, które ku tej potędze prowadzą, są tak drobne, tak proste i tak względnie łatwe, że stąd zapewne poszło, iż można je było zlekceważyć.

Nie ulega wątpliwości, że ćwiczenia koncentracji i innerwacji (czyli skupiania myśli i unerwiania mięśni), o których tu mówimy, oraz ich wyniki były już od wieków znane niektórym, nielicznym, tylko mówili oni o tych sprawach prawie zawsze pod przerośniętą, posługując się wyrażeniami wciąż zmiennymi i tajemniczymi; przytem drogi mistycyzmu różnych ras są różne. Ludzkość rasy białej właśnie w tej dziedzinie nie posiada dotąd słowa „budzącego śpiące“, a zrozumiałego tylko dla niej. Indjanie i azjaci, jak tego dowodzą tysiące sprawdzonych faktów, umieli i dotąd umieją dowolnie przerzucać swą świadomość i na czem chcą ją skupiać i ześrodkowywać, a to w tym celu, by do-szczętnie zatracać wrażliwość na ból i obawę.

Człowiekowi białemu upraszcza te sprawy jego wybitna próżność: oznajmia on poprostu, że niewrażliwość jest cechą niższego poziomu duchowego; lecz zapomina przytem, że rasy, które w ten

sposób postponuje, gdy chcą, potrafią reagować na wrażenia z taką ostrością i czułością zmysłów, które nam się nieomal cudowne wydają. Tylko bowiem jeden jedyny człowiek biały przykładem swym dowodzi, jak można być zarazem tępym i boleściwym — on kształcił i ulepszył wszystko z wyjątkiem... siebie.

Czerwonoskóry Ameryki Północnej, wzięty do niewoli, znosi cierpliwie wszelkie męki i na torturach, w ogniu donośnym głosem intonuje pieśń o własnej śmierci; a są to męczarnie tak wielkie, że słów dla nich braknie — przypawiłyby one o oblęd każdego Europejczyka. Indianinowi siłę do ich znoszenia daje właśnie owa zdolność do wprawiania się dowolnie w ten lub inny stan duchowy.

Indianie są w ruchach o wiele spokojniejsi, ale przytem o wiele żywsi, niż większość ludzi białych. Zdaleka już można poznać Indianina po jego cudownie swobodnym chodzie, sprawiającym jak gdyby jemu samemu rozkosz. Indianin bowiem, żyjąc życiem naturalnem, bezwiednie wykształcił w sobie genjusz zwierzęcości i opanował wolę, a możliwość tłumienia cierpień z tego opanowania jedynie wynika.

Niezręczność, niezdarność, nietakt pochodzą zawsze z tej poprostu hodowanej w sobie samym niezdolności do robienia czegokolwiek we właściwym czasie.

Człowiek, chronicznie paniką ogarnięty, w razie nagłego niebezpieczeństwa, na przykład na okręcie, biega po pokładzie to tu, to tam, bezładnie, i to jego „zachowanie się“ odbija najdokładniej stan ducha, w którym znajduje się on stale, przez całe swe życie, gdyż człowiek taki pozwala ciągle na to, aby myśli jego, jak psy źle ułożone, szwendały się bez celu, to tu, to ówdzie, wszystko obwąchując, wszystko ogryzając i zanieczyszczając. Natomiast człowiek o duchu skupionym, który wie, jak niesłychanie długo trwają dziesięć sekund, gdy są właściwie użyte, ile w ciągu nich można pokolei zdziałać, znajdzie i podczas katastrofy czas, aby rozejrzeć się systematycznie, jakby się tu ratować. Lecz ci tak różni ludzie i szpilkę z nimi również podniosą w różny sposób.

Spokój w niebezpieczeństwie polega właśnie na tem, aby z błyskawiczną szybkością zobaczyć dwadzieścia rzeczy pokolei i z dokładnością maszyny pokolei je wykonać. Tchórz widzi nietylko fakt niebezpieczeństwa, ale i różne jego możliwe następstwa, widzi wszystko co go może i nie może spotkać — ogarnia umysłem naraz całą bezdenń rzeczy przerażających. Tymczasem niema zalety ważniejszej i potrzebniejszej, gdy chce się osiągnąć powodzenie, jak odwaga, odwaga i jeszcze raz odwaga.

Człowiek, niewyćwiczony w panowaniu nad sobą, w momencie decydującym zupełnie tak samo pozwoli, aby myśl zbawienna wypadła mu z mózgu, jak kiedy indziej cyrkiel z ręki. Odwaga bowiem jest w myśleniu równie istotną cechą, jak w działaniu; nową myśl trzeba umieć zachować w swej mocy tak długo, aż przejdzie pierwszy moment strachu na widok jej nowości, i zamiast dać jej przeminąć bez pożytku, należy się raczej przez ten czas zastanowić, czyby nie opłaciło się poszukać dróg do jej realizacji właśnie dlatego, iż jest aż tak śmiała, aż tak nowa i niezwykła.

Tu jednak ostrzec muszę przed nieporozumieniem: nie cała siła ducha winna się skupiać na każdej bagatelce z codziennego życia, na zamknięciu drzwi, nawleczeniu igły, otwarciu szuflady itp. — nie, bynajmniej! tylko tyle tej siły właśnie, ile jej dana czynność naprawdę wymaga. A umieć to od razu i trafnie określić, resztę sił zostawiając na nieprzewidziane wypadki w rezerwie — nazywa się cielesną doskonałością. Kto ma podźwignąć ciężar, będzie się inaczej zabierał do rzeczy, gdy o pięć funtów chodzi, a zupełnie inaczej, gdy o pięćdziesiąt funtów. Ktoby jednakże myślał przytem o czem innem, ten zawsze źle obliczy potrzebną ilość siły. Lecz jakżeby wyglądał kupiec,

gdyby w podobnie nielogiczny sposób obchodził się z swym składem? Tu — prawda — trwoni się jedynie życie, jednorazowe, niepowrotne życie... o takiej bagatelce nie warto nawet myśleć!

Tymczasem przesycenie ciepłą krwią uwagi, ożywienie i opanowanie choćby jednego jedyne go dnia w jego tysiącznych tak zmiennych momentach mogłoby w znacznej mierze zastąpić człowiekowi, pędzącemu życie miejskie i siedzące, ten sport, który przecież nie jest niczem innem, jak tylko wyjątkowem stosowaniem naszej recepty na życie.

Przypomnijmy też sobie, jak wiele sił marnotrawimy na to, że wiele rzeczy robimy podwójnie: raz umysłowo, w duchu, drugi raz fizycznie, w czynie. Oto co rano leżą ludzie w łóżku i dreszcz ich przechodzi na myśl, że trzeba będzie wstać, śniadanie zrobić, mieszkanie sprzątnąć, iść do miasta po sprawy albo do zajęcia... Leżą — i myślą — i dręczą się tem wszystkim, co później w rzeczywistości po raz drugi przeżywać będą, podwójnie siły tracąc.

Umieć każdej czynności wyznaczyć odpowiednią dla niej ilość siły jest tajemnicą żywotności. Tym, co ją posiadają, zazdrościć należy — zdają się oni czerpać pokarm czarodziejski z zapasów spiżarni

nieprzebranej. Żadna „witamina“, żaden flakon namiastki ambrozji „Speiofix“, ze świadectwami wszystkich fakultetów świata na opakowaniu, mieniłem się jak tęczą, nie zdoła nigdy osiągnąć skuteczności bezpłatnej tej metody.

Oznaką żywotności jest zresztą nie tylko odwaga, lecz w niemniejszej mierze takt i zręczność. One to pozwoliły temu amerykańskiemu oficerowi z czasów wojen o niepodległość, kiedy w wirze bitwy znalazł się nagle sam jeden jak palec wobec wojsk angielskich, zapytać spokojnie: „A co to za pułk jest?“ — „Royal skots“, brzmiała odpowiedź nieprzyjaciół. „No, to Royal skots, stój!“ rzucił non-szalancko rozkaz, — który, gdy wykonano, cofnął się spokojnie do własnych szeregów.

Fechmistrze, tancerze, dyrygenci odznaczają się często tą trafną pewnością unerwienia, ale i oni w rzeczach, wychodzących po za granice ich zawodu, są często tak samo kapryśni, niedbali i niepewni siebie, jak większość innych ludzi.

Należy wychowywać w sobie całkowitego („all round“) człowieka, a nie tylko ćwiczyć bicepsy, słuch lub łędwie, jakby tego chciał podział pracy, będący właściwie tylko podziałem ludzi. Może nie dla „gospodarki“ i „produkcji“, ale dla ludzi jest z pewnością lepiej rozwijać się wszechstronnie i symetrycznie, niż przekształcać w potwory nadmiernie rozwinięte pod jakimś jednym względem,

jakkolwiek podobne monstrum jednostronności częstokroć nazywają fałszywie... genjuszem.

Setki, ale to setki takich drobnych ruchów, z których się składa życie, jako to: ubieranie się i czesanie, zamykanie czegoś i otwieranie, branie i podawanie, podnoszenie i odkładanie itd. wykonywamy niezręcznie, nieuważnie, więc też bez przyjemności, zwłaszcza gdy czeka na nas albo nam zagraża coś poważniejszego. A takie obijanie się pomiędzy przedmiotami przyprowadza nas o zmęczenie, czyni nas brzydkimi, a w końcu i tchórzami, gdyż nastrój paniczny powstaje w nas najczęściej z przyczyn początkowo całkiem drobnych.

Długotrwałego przyzwyczajenia nie sposób oczywiście zmóc w sobie w ciągu jednego dnia ani nawet roku, a umysłowych i ogólnoduchowych jego skutków niepodobna uleczyć tak od razu — może być tutaj mowa jedynie o powolnem i stopniowem ze złego „wyrastaniu“ — o nie się starać trzeba.

Kto, czytając szkic ten, będzie miał uczucie, że „może coś w tem jest“, że bodaj jakiś jeden ustęp stąd stosuje się do niego, ten już przez to samo zacznie sam siebie leczyć. Przekonanie, żywe przeświadczenie może przyjść tylko zwewnątrz, ale gdy przyjdzie, to już nie przestanie wzrastać.

Nikt nie wynajduje, nie wymyśla prawdy i nie

potrzebuje jej wymyślać, bo prawda — jakkolwiek trudno ludziom dzisiaj w to uwierzyć — jest najbardziej rozposzechnioną z rzeczy tego świata, jest „dobrem niczyjem“, jak woda, powietrze, albo światło dzienne. Ten, kto pomaga innym, pomaga im tylko odnaleźć samych siebie, podobnie jak zapalacz latarni ulicznych nie stwarza ognia ani jasności, gdy przytyka swój świetlik do mechanizmu lampy.

O SPIRYTYZMIE

Na pytanie, czy jestem spirytystą, odpowiadam przeważnie, że „nie, bynajmniej“.

Oszczędza mi to mnóstwa dyskusyj i kłopotów. Bodajże żadna inna dziedzina myśli ludzkiej nie jest terenem tylu i tak nieznosnych, tak uporczywych nieporozumień. Brnie się w nich tutaj, jak w mazi, depce fatalnie w kółko...

To proste, błogosławione „nie, bynajmniej“ już od wielu lat uwalnia mnie od bezcelowego trudu wykładania wciąż odnowa i ultrasceptykom i ultrawierzącym (bo zapytujący należą z reguły do jednej z tych dwóch kategorii), w co mianowicie wierzę, a czemu nie daję wiary, gdy chodzi o łączność zmysłowej i nadzmysłowej dziedziny bytu.

Słowo „spirytyzm“ budzi bardzo wiele niepożądanych skojarzeń ubocznych. Dla wielu brzmi ono podobnie, jak histerja, kuglarstwo lub oszustwo. Na jego dźwięk bywalec przeróżnych „seansów“ przypomina sobie mimowoli a z przykrością hordy żarliwych wyznawców, biegających z seansu na seans w pogoni za temi „drogiemi duchami“; stają

mu w myśli „wtajemniczeni“ spirytyzmu z ufryzowanymi assyryjskimi brodami; napół ogłupiałe medjum, afektowane i w złym stylu, w sukni z dżetami, jeśli jest w starszym wieku, a w białej koszulce nocnej, jeżeli jest młodsze; „Goethe“ i „Napoleon“ — duchy, bez których tak samo nie bywa nigdy seansu spirytystycznego, jak karty restauracyjnej w Europie bez szynela po wiedeńsku i ciastek tortowych; mgliste, zamazane „coś“, majaczące pod ścianą o niewłaściwej chwili, czyli zjawisko „materjalizacji“; flirt astralny dam w niebezpiecznym wieku z ich wielbicielami z tamtego świata, itd. Cała ta makabryczno-erotyczna atmosfera i wiele innych przykrych, niepożądanych rzeczy przylgnęło do współczesnego spirytyzmu.

A jednak pod tem całym wzburzonym, klekocącym blokiem leży dno oceanu prawdy; podobnie i ocean ziemski wyrzuca na powierzchnię, wzburzoną i spienioną, morszczyzny, meduzy i męt wieloraki.

Cała ta trywjalna i naiwna, pełna majaczeń i złud dziecinnada dwudolarowych seansów dowodzi tylko, jak drażliwe zjawiska z pogranicza prawdy i błędu zdolne są plenić się, niby dzikie chwasty, tam, gdzie do rzeczy biorą się umysły niedorzeczne i niedojrzałe. Bo przecież doświadczenia spirytystyczne takiego Zoellnera, Lombrosa czy Crookes'a, przeprowadzone z całym wyrafinowa-

niem naukowym ludzi nawykłych do eksperymentów laboratoryjnych, mają już zupełnie odmienny charakter, jakkolwiek i ci światowej sławy badacze naukowci liczyli się zawsze z krnąbrną, że tak powiemy, i upartą, osobliwą naturą tego rodzaju zjawisk. Prawdziwi uczeni nigdy nie podzielali nienaukowego stanowiska tych, co z pogardą i niewiarą ciasnych dogmatyków odrzucają ze spirytyzmu wszystko dlatego i tylko dlatego, że obcowanie z zaświatem — to delikatne przenikanie najbardziej dla nas obcych zjawisk do świata brutalnej materji — musi się odbywać według swych własnych praw i nie chce się poddawać dowolnym i niedorzecznym wymaganiom pierwszego lepszego outsider'a. Przecież i wszelki eksperyment fizyczny lub chemiczny, udaje się tylko w odpowiednich dla siebie warunkach, a więc nasz sceptyk, który z niczem się nie liczy, gdyby chciał być konsekwentny, powinienby zaprzeczać również możliwości na przykład fotografowania. Mógłby dowodzić w swoim hiperkrytycyzmie, że przecież on osobiście nigdy nie widzi powstawania na kliszy obrazu, że więc wywołanie kliszy powinno się odbywać tylko przy pełnem świetle, przy tem słynnem „pełnem świetle“, którego domaga się on tak uparcie i podczas zjawisk materjalizacji. Gdy arcyksiążę Rudolf, austriacki następca tronu, przez natrętne wtrącanie się

nie w porę i przeszkadzanie powstawaniu zjawisk uniemożliwił ongi seans spirytystyczny i w ten sposób „zdemaskował“ medjum Slade'a, jeden z obecnych przy tem matematyków światowej sławy, zapytany przezeń o zdanie, odpowiedział: „Wasza Cesarska Wysokości, to tak, jak z kryształami: w ciemnem pomieszczeniu, po całych miesiącach przygotowywania, w ściśle określonej temperaturze, w spokoju absolutnie przez nic niezakłóconym, z roztworu nasyconego może zrodzić się — i to nie zawsze — kryształ. Gdyby jednak w roztworze zacząć mieszać pałką...“ Nie dokończył wprawdzie, ale i tak orderu Franciszka Józefa nigdy nie otrzymał.

Czem jest „temperatura“ dla tworzenia się kryształów, tem „nastrój“ dla udania się seansu. Jeżeli przez sceptycyzm, pogardę i nieżyczliwość „temperatura“ spada poniżej zera, zjawiska nie dopisują. Z drugiej strony jednakże powstaje pytanie, czy takie ciepło wylęgarni, pełnej drżącego pożądania cudu, które na dwudolarowych seansach panuje wszechwładnie, nie staje się skądinąd „temperaturą krytyczną“ dla zdrowego rozsądku i nie grozi wyparowaniem i ulotnieniem się władzy sądu?

Jakże przepłynął między tą Scyllą a Charybdą jeden z największych fizyków angielskich XIX-go wieku, sir William Crookes, odkrywca materji

promienistej? Toż trudność powyższa zda się być poprostu nie do przewyciężenia.

Otóż Crookes w swych doświadczeniach spirytystycznych z medjum Katie King, które prowadził w ciągu lat prawie dwudziestu w swej pracowni chemicznej przy udziale zaledwie kilku wybranych przyjaciół, zachowywał nastrój zupełnej życzliwości, jako element, *s p r z y j a j ą c y* powstawaniu zjawisk, lecz sąd o tych zjawiskach, czy i jak zachodzą one w rzeczywistości, pozostawiał nie sobie i wogóle nie ludziom, ale maszynom. Całkowicie bezstronna mechanika, opieczętowane klisze, aparaty do rejestrowania, wagi automatyczne *sine ira et studio* spełniały swe zadanie. Ani czasu tu nie mam dosyć, ani miejsca, aby „sceptycznie nastrój“ laikowi“ dać bodaj przybliżone wyobrażenie o tem, jak wielka w tych rzeczach panowała pomysłowość, jak dowcipne zastosowano urządzenia, aby wykluczyć wszelką możliwość omyłki; samo zrozumienie tego choćby w ogólnych zarysach wymagałoby zresztą o wiele więcej, niż ogólnego wykształcenia, bo praktyki laboratoryjnej w dziedzinie fizyki i chemji. Kto się tem interesuje bliżej, niech przeczyta protokoły z doświadczeń Crookes'a, drukowane przez cały szereg lat w „*Journal of psychical research*“.

My powiemy tu tylko, że aparaty automatyczne zapisywały bez przerwy wagę medjum podczas

transu i po obudzeniu się z niego. Okazało się przytem, że medjum ważyło prawie stale o połowę mniej wtedy, gdy owe mgławicowe ukształty — głowy lub całe postacie — tworzyły się i wydzielaly z jego ciała, najczęściej z okolicy t. zw. węzła słonecznego; a więc musiały te zjawy powstawać z substancji samego medjum. Ze swej strony zjawy te były kontrolowane za pomocą zdjęć fotograficznych na kliszach, które nabywano opieczetowane z rozmaitych magazynów; klisze te były następnie wyjmowane z opieczetowanego aparatu i wywoływane przez osoby postronne w obecności świadków.

W czasie objawów materjalizacji powstawały też na żądanie, na wewnętrznej stronie dwu hermetycznie ze sobą spojonych płytek glinianych, odciski rąk lub — jeśli sobie tego życzone — stóp. Uczestnicy seansów zawsze dawali tylko duchom zadania do spełnienia, wykonanie zaś rejestrowały automatycznie aparaty. Wyniki odczytywano dopiero po ukończonym seansie.

I mimo tych wszystkich ostrożności jednak powiedzieć musimy...

W tych tak kunsztownie odnotowywanych i kontrolowanych przez przyrządy śladach materjalnych i pozostałościach po działaniu duchów cóż ostatecznie było nadprzyrodzonego? Wszystko, co po nich zostawało, były to z konieczności znowu tylko

rzeczy natury materjalnej. Liczby — miary — wagi... Na fotografiach tak albo inaczej oświetlony zarys zjawy, który równie dobrze można byłoby otrzymać przez odpowiednie retuszowanie zdjęć ciał pospolitych. Moc i wartość dowodowa tych wszystkich sposobów kontroli polegała tutaj zawsze i wyłącznie na sile przekonania naszych uczestników. Procesy, po których pozostawały, jako rezultat, owe liczby, miary, czy obrazy, w ostatecznej instancji zależały przecież od jakiegoś oka ludzkiego, które było może zmącone przez hipnozę, a może złudzone przez marzenie, urojenie, albo które może poprostu się myliło. A tylko ono, to oko nam gwarantowało, że nie co innego, krzesło naprzykład lub kawałek drewna, ale istotnie medjum znajdowało się na wadze w tym momencie, gdy pokazywała ona tylko połowę normalnego ciężaru ludzkiego. Co się zaś tyczy oka ciemni aparatu fotograficznego, to ono dostarcza nam oczywiście tylko tyle, ile z natury rzeczy po nim oczekiwać można i ani trochę więcej; to znaczy o s t r o zarysowaną postać medjum na wadze wraz z częściami kliszy n i e o s t r e m i, czyli takimi, które uległy niedostatecznemu działaniu chemicznemu fal świetlnych i które w danym wypadku stanowią zdjęcie t. zw. duchów. Albo też są to może dwa zdjęcia kolejne na tej samej kliszy, z których jedno było niedoeksponowane.

A przypuśćmy nawet, że za czasów Crookes'a istniał już gramofon, to i on również cóżby właściwie pomógł? Byłyby się odnotowały na nim głosy, odpowiedzi, wszystko to, co w sposób zgoła ziemski płyta fonograficzna zdolna jest odnotować, ale co też dlatego może być jedynie ziemskiego pochodzenia.

Wszystkie te zjawiska, jako to: różne notowania wagi, rozmaite postacie mgławicowe, wykwitające z ciała medjum, poruszające się i mówiące, oddziaływanie na odległość, odciski niewidocznych członków ciała na opieczętowanych tabliczkach glinianych, węzły na sznurach o związanych końcach itd. — zjawiska te, mówimy, wiążą się z sobą w jedną całość działalności duchów, ale w jaki sposób? Cokolwiek łączy je z sobą i nadaje im moc dowodu na rzecz istnienia duchów, będzie to zawsze tylko przekonanie widza, że przeżył on istotnie wszystkie te zjawiska w tym właśnie, a nie innym związku czasowo-przyczynowym. I z temi wszystkimi swemi, tak pomyśłowemi, ale materialnemi fragmentami dowodów w ręku, stoi on tak samo, jak na początku, przed alternatywą: wierzyć albo w duchy, albo w wyrafinowane złudzenie i auto-suggestję na seansie.

A cóż tu dopiero mówić o innych, którzy w seansie udziału nie brali i tylko spisany z niego pro-

tokół czytają! Już Lincoln doradzał: nigdy nie wierzyć temu, co widział kto inny, i zaledwie przez pół temu, co się widziało na własne oczy.

Tu gotów ktoś zapytać: wypada więc z tego, że nic nie jest zdolne udowodnić cudu, bo to, co by w nim mogło pod dowód podpadać, już przez to samo przestaje być „cudem“. — Ha, jeszcze poczekajmy... Crookes, słynny przyrodnik, badacz ścisły, a przeto stawiacz pytań i z a w o d u n i e d o w i e r z a c z, nie odwołał nigdy swego tak ważkiego świadectwa na rzecz spirytyzmu. Jeszcze nie tak dawno zaprzeczył on publicznie pogłoskom przeciwnym, krążącym na ten temat, i domagał się, aby jego doświadczeniom, ogłoszonym w „Journal of psychical research“, nadawano pod względem wartości dowodowej taką samą wagę, jak i jego pracom z fizyki, a w szczególności badaniom nad promieniowaniem, w której to dziedzinie jest on, jak wiadomo, powszechnie uznany za jednego z największych odkrywców.

Są koła, które, jak i we wszystkim innem, trzymają się w ocenie wartości spirytyzmu słynnej drogi „złotego środka“ (mojem skromnem zdaniem, droga ta gubi się zazwyczaj w piaskach). Umiarkowañcy ci zgadzają się uznawać wiarogodność i realność niezwykłych zjawisk na seansach, jako że je stwierdzili ludzie tak poważni i trzeźwi, jak Crookes lub Lombroso; odmawiają jednak wysnu-

wania z tych faktów wniosków spirytystycznych co do istnienia duchów, zamkniętych w ciałach innego niż nasze rodzaju, albo umysłowości, wcielonnych według innych praw niż ludzie. Udowodnić niezbicie, że nie mają racji, oczywiście niepodobna, ponieważ pogląd ich pokrywa się właściwie z odwiecznym solipsyzmem, jako że tylko o sobie samym mogą utrzymywać, iż posiadają świadomość, a co się tyczy innych stworzeń — ludzkich czy zwierzęcych — to istnienie i w nich świadomości przyjmujemy tylko na podstawie mizernego wniosku przez analogję. Stworzenia te mogłyby równie dobrze przesuwać się przedemną nakształt automatów i wszystkie ich reakcje na świat, przebiegać bez udziału czucia i świadomości.

Gdyby z tego stanowiska — a jest ono nie do obalenia — zacnemu Eckermannowi naprzykład podobało się utrzymywać, że Goethe nie był bynajmniej „świadomym samego siebie intelektem“, ale lalką, która codziennie, między godziną 2-ą a 4-ą po południu, zwykła była przed nim, Eckermannem, paradować i wygłaszać sądy, to żaden człowiek, czyli żadna inna „lalka“, która tylko sama jedna wie to o sobie, że lalką nie jest, nie zdolaby go przekonać, że się myli.

Ponieważ jednak my z podobnego do naszego sposobu zachowania się, z podobnych objawów życiowych, akcyj i reakcyj, zwykliśmy wyciągać

wniosek, że mamy przed sobą istoty świadome, nie widzimy więc powodu, dlaczego by twory, chociaż o strukturze pozornie subtelniejszej, ale poruszające się, jak żywe, odpowiadające na pytania, wykonywające polecenia itd., słowem, zdradzające wszystkie objawy świadomości, miały jej właśnie nie posiadać; dlaczego by odciski rąk i stóp ludzkich w glinie, ukształty ludzkie, poruszające się spontanicznie, postacie mówą i pismem obdarzone nie miały powstawać same z siebie przez „interferencję“ czy też inne jakieś własności nieznanych nam dotychczas „fal“ lub „promieniowań“. Ale dogmatykowi materializmu zbawieniem wydaje się nawet najokropniejszy manowiec myślowy, byleby ratował go od nieprzyjemności wyrzeczenia się drogiego mu poglądu, że tylko święta protoplazma w półpłynnym stanie skupienia jest jedynym możliwym nosicielem świadomości. Dogmatyk ten zapomina o wielkim psychofizyku Fechnerze i jego pięknej przypowieści o lampie i świecy, które twierdziły zgodnie, że gaz nie może żadną miarą nadawać się do oświetlenia, bo przecież nie ma knota!

Stąd wniosek w formie takiego zapytania: Czyżby duch mógł płonąć tylko za pośrednictwem knota z nerwów?

Z wszystkiego, cośmy dotychczas powiedzieli, ultrasceptyk mógłby, jako rezultat, zapamiętać sobie tylko jedno: że w doświadczeniach spirytystycznych nawet i zjawiska automatycznie rejestrowane i kontrolowane nie stanowią żadnego dowodu ich prawdziwości, i w tym bowiem wypadku jest się koniec końców skazanym na świadectwo znowu tylko kilku wtajemniczonych, a samemu nie ma się bodaj że nigdy sposobności tych rzeczy zobaczyć: warunki ich zjawiania się są rzadko spotykane, trudne do osiągnięcia i niepewne w skutkach... Słowem, wszystko to razem jest prawdopodobnie tylko błagą i humbugiem.

Dlaczego jednak taki ultrasceptyk — który pochodzi zazwyczaj z szerokich kół ludzi „przeciętnie wykształconych” — nie stosuje tego samego swego sposobu wnioskowania i w fizyce, chemii albo biologii? Przecież i z tych nauk dostępne są dla niego tylko tu i ówdzie, od czasu do czasu, tytułem okrucich z łaski mu spadających, jakieś oddzielne wyniki obserwacji; a i z tych nawet też tylko te momenty, o których uważa się za właściwe, aby on je osobiście i bezpośrednio poznał. Gdy zaś tam w nauce są jakieś sprzeczności i coś się z czemś nie zgadza, on nie dowiaduje się o tem nigdy i w błogosławionej swej ufności dziecięcej sądzić będzie, iż, opancerzone wiecznymi prawami, wszystkie nauki przyrodnicze zazębiają się

o siebie, jak koła maszyny bez zarzutu, a nowe prawdy osiąga się w nich zawsze w prostej linii, jako bezpośredni ciąg dalszy poprzednich zdobyczy. Wszystko to dokonywa się w jakimś dalekim odeń świecie, który jest dla niego księgą o siedmiu pieczęciach, pisaną nie w jednym, ale w dziesięciu tajnych dialektach i o wiele mniej dostępną, niż, dajmy na to, dla człowieka średniowiecznego źródła, z których można było wyprowadzić dogmat jedyności Trójcy świętej. Tam bowiem wystarczyło ostatecznie nauczyć się łaciny, aby móc wyrobić sobie samemu własny sąd o rzeczy; tutaj natomiast, w owych językach fachowców, już każdy znak jest obcym, nieznanym laikowi symbolem niezrozumiałej dla niego myśli. Oczywiście, w gimnazjum uczono go na przykład, że formuła energii kinetycznej poruszającego się punktu opiewa $mv^2/2$. I może nawet niegdyś nauczył się na pamięć, jak tego się dowodzi; ale czy ten dowód naprawdę rozumiał? Czy wie, dlaczego w słynnym sporze pomiędzy Descartes'em a Leibnizem, jeden obstawał przy formule mv^2 , a drugi — $mv^2/2$? Jeżeli będzie szczerzy, przyzna, że dla niego, jak dla każdego przeciętnie wykształconego człowieka, formuła ta mogłaby równie dobrze brzmieć „abrakadabra”.

A jednak w rzeczach ducha ultrasceptyk wierzy ze ślepem zaufaniem nie tylko w tę formułę, której nie rozumie, ale i w każde słowo, każdy dźwięk,

który dochodzi go z tego właśnie świata, na siedm zamków przed nim zamkniętego. Właściwie zaś jest nawet znacznie gorzej: właściwie laik otrzymuje do wierzenia zawsze tylko to, co dla samych uczonych specjalistów należy już do rzeczy dawno przezwyciężonych. Opiera on na przykład całą biblię monistów i wszystkie rozwiązania zagadek wszechświata na istnieniu „Bathybiusa“, czyli rzekomo bezjądrowej substancji żywej, będącej poprzednikiem komórki, gdy tymczasem cały ów „Bathybius“ okazał się oddawna produktem rozpadu pewnych substancyj, a nie praciegłką wszystkiego żyjącego. Ale o tem on nigdy nic się nie dowiaduje. On nie orjentuje się dobrze nawet w naszym starym i zgoła już przez nas po domowemu traktowanym systemie planetarnym; a przecież z urządzeniem tego dziecinnego pokoiku najoklepańszych komunałów astronomicznych pufali się już od czasów Keplera pierwszy lepszy smarkacz. Zachodzą tam jakieś niesamowite ruchy w perihelium drogi Merkurego — tak niepojęte, że chcąc je wytłumaczyć, trzeba było obalić wszystkie nasze dotychczasowe poglądy fizyczno-matematyczne. Ale i o tem nasz sceptyk właściwie nic się nie dowiaduje.

Tak jest; lecz na to gotów on nam odrzec: Istotnie, może nie dość jestem wykształcony, aby móc

powtórzyć wszystkie eksperymenty i zdobyć całkowitą osobistą pewność; wszelako droga do niej tutaj w tej dziedzinie stoi otworem dla każdego.

Lecz otóż nie, bynajmniej! Przedewszystkiem bowiem doświadczenia fizyczne, chemiczne i biologiczne stały się dzisiaj tak skomplikowane, że każde z nich rozciąga się na lata, a nawet lat dziesiątki, jak na przykład pomiary drgań eteru. A następnie, wymagają one przyrządów, których zrobienie tak żmudne jest i trudne, że zaledwie bardzo nieliczni w specjalnie potemu urządzonych instytucjach mogą marzyć o przedsięwzięciu podobnych doświadczeń. Przytem tak ciężko bywa usunąć możliwe przy tych doświadczeniach źródła błędów, że na przykład sam Ramsay nie mógł przez długie lata ustalić, czy udała mu się przemiana metali jednych w drugie, czy też pewien osad miedzi, o który chodziło (a w grze były tutaj ilości poprostu niewyobrażalnie małe) przypisać należało raczej „zanieczyszczeniu“ substancyj, użytych do doświadczeń. Kwestja ta pozostała do dziś nierozstrzygniętą.

Albo weźmy najnowsze doświadczenia Woodruffa z dziedziny biologji: trzeba było wyhodować, i to obserwując najściślej czystość rasy, cztery tyśiące pokoleń istot jednokomórkowych, w danym wypadku t. zw. pantofelków (Paramaecium), aby

móc się przekonać, czy zdolność rozmnażania się wyłącznie przez podział kiedyś wygasa w końcu. Od odpowiedzi na to pytanie zależy ni mniej ni więcej, jak tylko rozstrzygnięcie kwestii, czy jednokomórkowce są nieśmiertelne, jak to utrzymywali (oczywiście bez dowodów) zwolennicy Haeckla. Powyższe doświadczenie, przeprowadzone w Ameryce, trwało sześć do siedmiu lat i dało wyniki, jak się zdaje, negatywne. Wypadnie teraz czekać znowu długie lata na rezultat doświadczenia, sprawdzającego tamto, a przecież i do tego ostatniego mogą się zakraść błędy w obserwacji.

„Tak, może to i prawda wszystko“, — powie nasz niezachwiany w wierze swej dogmatyk; w tej dziedzinie jednak, w dziedzinie naukowej, nikt nigdy nie będzie domagał się ode mnie, abym uwierzył w jakąś niedorzeczność lub w coś, czemu przeciw świadectwo mych zmysłów, albo przeciwko czemu buntuje się i burzy mój „zdrowy rozsądek“, jak to się zdarza, gdy się wierzy w duchy albo mistyczną trójjedność. — Czyżby?... Czyż eter wszechświatowy tak się znów daje widzieć — ten eter, któryby musiał, gdyby miał istotnie odpowiadać wymaganiom, dla których się jego istnienie suponuje, być idealnym płynem o konsystencji stali, a posiadać cząsteczki nieskończenie ruchliwe i łatwo przesuwalne... oraz bardzo wiele innych mieć jeszcze własności równie

z sobą sprzecznych, które w nim przyjmujemy, jako istniejące jednocześnie. Czyż to wszystko jest tak znów o wiele łatwiejsze do przyjęcia, niż jakiś irracjonalny symbol wiary?

Albo zważmy na przykład te niemożliwości, których wymaga od nas najnowsza fizyka matematyczna, kiedy, dajmy na to, przy pewnych prędkościach granicznych ciała muszą się zmieniać w ciennie o nieskończenie wielkiej wadze! Gdzie w spirytyzmie albo jakiegokolwiek wierze w cuda żąda się od umysłu podobnej negacji wszelkiego oglądu, wszelkiego doświadczenia? Dalekobycy się zaszło w nauce dzisiejszej z filisterskim frazesem o „zdrowym rozsądku“! Ale o tem wszystkim „sceptyk“ nigdy przecież nic się nie dowiaduje.

Ba! czegoż on się właściwie dowiaduje takiego, coby go skłaniało albo uprawniało do przyjmowania bezkrytycznie każdego zdania, wypowiedzanego przez najmniejszego nawet prywat-docencika? A jednak on w te zdania „nauki“ tak mocno i gorąco wierzy, że każdy papież na widok jego płomiennej wiary mógłby z zazdrości zżółknąć.

„Maszyna parowa“ — rzuci nam na to w odpowiedzi triumfujący „sceptyk“ — albo „telefon“ lub „dynamomaszyna“! „Jeśli nawet nie umiem ja sam skontrolować słuszności formuły o energii kinetycznej, to jednakże maszyny, których konstruk-

cja na tej formule jest oparta, widzę na własne oczy. Nie wiem jak się oblicza długość fal Hertza, ale teoretyczne ich przyjęcie doprowadziło do czegoś, co wpłynęło na całe moje życie. Już więc sam uboczny produkt przyrodoznawstwa: technika potrafiła z gruntu zmienić i przekształcić całe istnienie nasze, jak to namacalnie stwierdzić może najtępszy, najostatniejszy z ludzi. I dlatego to wierzę w nauki przyrodnicze nawet wtedy, gdy zdają mi się ciemne i niezrozumiałe“.

I teraz nareszcie nasz sceptyk ma rację.

Z tej racji jakaż płynie nauka dla spirytystów oraz ich doktryny? — Ta, że dopiero wtedy, gdy wyniki spirytyzmu tak oświecą dusze ludzkie i od wewnątrz niemi wstrząsną, jak uczyły to od zewnątrz nauki przyrodnicze z ciałem i życiem każdego człowieka, choćby nie miał on o nich żadnego pojęcia, — dopiero wtedy, powiadamy, spirytyzm nabierze wagi i wartości. A wdawanie się duchów do spraw tego świata, jeśli ma istotnie pojąć dla ludzi znaczenie, musi objawiać się od wewnątrz, odbijać się na duchu ludzkim i jego wartości.

Materiaalista-rozsądek domaga się namacalnych dowodów istnienia duchów przez zmiany w materji. Dowody, które dzisiaj w tym względzie otrzymuje, nie mogą go żadną miarą zadowolić. Wychodzi z seansu zdumiony, pobity... aby po pew-

nym czasie wątpić znowu. W naturze materialisty-rozsądku leży przeczyć wszystkiemu, co nie jest materją; każde zjawisko ujmuje on i stawia wyłączenie na tym gruncie — inaczej nie potrafi. Żyją i chodzą dziś po świecie ludzie, którzy po lat trzydzięści-czterdzięści oglądali wszelkie możliwe zjawiska spirytystyczne i medjumistyczne, a przecież nie są przez to ani o jotę skłonniejsi do wierzenia w duchy dzisiaj więcej, niż na początku, gdy się temi sprawami dopiero zajmować zaczęli.

Już bowiem, mówiąc o doświadczeniach Crookes'a, przekonaliśmy się, że nawet najdoskonalsze z nich, najwolniejsze od złudzeń i błędów, są jednak chybione, gdyż to w nich, co da się w sposób zewnętrzny udowodnić, przez to samo właśnie przestaje być „duchem“.

Spodziewać się po obcowaniu z „duchami“ lub domagać się od nich jakichś „cudów“ w świecie materialnym — to „mistyka murzyńska“; działanie duchów musi objawić się we mnie! Zetknięcie się z ich światem musi mnie czynić lepszym, głębszym i światlejszym — musi odradzać mnie duchowo. Kto wpada w trans, czyli w stan mistyczny, ma tylko jeden probierz jego istotnej wartości: wynurzając się z zaświatowych głębin ducha, musi przynosić z sobą, w sobie nowy świat wewnętrzny, o tak szerokich horyzontach

i tak niespodziewany, że cała dotychczasowa świadomość przedmystyczna zostaje gdzieś tam w dole, jak marna skorupa. Lecz gdy tak jest w istocie, wówczas taki człowiek równie mało się troszczy o to, czy świat zewnętrzny, ten świat rozsądku, wierzy mu, czy rozumie, czy wie, co on posiada, jak wielki jakiś uczony, artysta lub mąż stanu — o to, aby dzieła swoje udostępnić dzieciom.

Przyrodoznawstwo, jako nauka o świecie materialnym, musi ten świat materji brać ciągle za sprawdzian myślowych swych konstrukcyj — ba! żadnego innego sprawdzianu mieć nie może, żadnym innym nie wolno mu się posługiwać. Ale to, co jest z ducha, mierzy się tylko duchem. Gdyby ktoś potrafił wywoływać jakieś zjawiska nadzwyczajne, gdyby umiał na przykład fruwać, lub coś w tym rodzaju, to ja osobiście powiedziałbym mu na to: „Ślicznie panie kochany, lecz czego to dowodzi? Pan jest sobie może całkiem pospolitym komiwojażerem, który w tej oto chwili fruwa, to znaczy bez podstawy unosi się w powietrzu. Ale to samo potrafi każdy magnes pomiędzy cewkami. Znamy przecież niejedną siłę zdolną przeciwdziałać przyciąganiu ziemi; może pan właśnie posługuje się jedną z nich, lecz posługuje się nią równie bezmyślnie, jak malpa telefonem. Czegóż więc to dowodzi dla mistyki lub pańskiej nieśmiertelnej duszy?

Nawet gdyby mi pan kogoś umarłego przywrócił do życia, znaczyłoby to tylko tyle, że ten ktoś zmarł był pozornie; a gdybym widział, że na skinienie pańskie ogniły szkielet świeżem okrywa się ciałem, przypuściłbym, że jest to hipnoza i nic więcej“.

Nic dobrego nie może wyniknąć z seansów dla człowieka, który pragnie ze świata mistycznego jedynie to poznać, o czem wieść dojść nas może przez pukania, zjawy, kręcenie się stolików, albo co „wieszczą“ czasem medja lub jasnowidze. Jeśli bodźcem w tych sprawach jest dla kogoś gorączkowe pożądanie „cudów“, nie zaś tęsknota do poznania prawdy, która nań spłynąć może jedynie odewewnątrz, to ten ktoś w takim razie ma minimalne szanse, aby spirytyzm mógł być dla niego pożyteczny.

Nie chcę przez to powiedzieć, że teoria i praktyka spirytyzmu nie miały żadnego w dziejach ludzkości znaczenia. Dzięki spirytyzmowi całe tysiące ludzi nauczyły się samodzielnie chadzać ścieżkami ducha. Spirytyzm tylko w dzisiejszej postaci jest anormalny i niezdrowy. Pojawienie się swoje zawdzięcza on temu, że pewne własności duchowe zaczęły przedwcześnie występować w osobnikach, których poziom duchowy skądinąd bynajmniej nie odpowiadał tej jednej jedynej niezwyklej ich własności. A ponieważ ludzie pod względem ducha są

jeszcze niedojrzali, więc i ich duchowe siły są nieopanowane, pozbawione harmonji i właściwego celu. Hipertrofia jakiegoś jednego zmysłu czy własności, której nie równoważy odpowiedni rozwój całości ducha, musi z konieczności dać wyniki spaczne, karykaturalne i ciężką wyrządzić krzywdę temu, w kim się pojawi. Medja są w szczególności na to narażone, muszą bowiem, będąc same w stanie zupełnej bierności, wchłaniać w siebie na seansach wszelkiego rodzaju emanacje duchowe otoczenia. Oblega je mrowie ludzi o umysłach zaćmionych zgryzotą, którym wyłącznie o to chodzi, aby w jakiś sposób odnaleźć swych ukochanych zmarłych; medja są, jak te filtry, przez które pod ciśnieniem sączy się przemocą prąd ciemny i mętny, bo przecież ludzie zdrowi, radośni, szczęśliwi nie bywają nieomal nigdy na seansach. Uczestnicy ich — to zawsze jacyś „opętający” — ludzie, którzy za wcześniej zburzyli przegrodę, broniącą ich łaskawie od niszczących wpływów złego pierwiastka duchowego. Albowiem zgodnie z wielkim prawem odpowiedniości, to, co ku nim napływa, stoi na tym samym, co ich duch, poziomie; a oni dalecy są jeszcze od daru swobodnego krążenia po świecie duchowym. Sztuczne i gwałtem osiągnięte warunki jednostronnego jasnowidztwa wyrządzają im krzywdę w rzeczach, któreby były dla nich zupełnie nieszkodliwe, gdyby

we właściwym momencie na widownię ich życia duchowego wystąpiły. Któż to wie, od ilu i jakich postaci i stopni wpływów lub, gdy kto woli, „duchów”, jesteśmy na nasze szczęście odgradzeni grubym murem „więzienia” naszych tępych zmysłów.

Lecz podobnie, jak wszystko, co w cieplarni sztucznie wychodowane, krótki posiada żywot, a pozostawione samemu sobie, albo wraca do pierwotnego typu, albo wyrodnieje jeszcze bardziej i niszczy samo przez się, tak też i spirytyzm właściwie już znów uwiądl. Słynne medja stopniowo rzadziej się pojawiają, i wcale nie dlatego, aby świat miał pod względem duchowym zubożeć, lecz wręcz przeciwnie — że się przygotowuje powszechny i ostateczny rozkwit ducha.

Im bardziej w naturalny sposób wyrastamy z nieokrzesania i błędów w myśleniu, tem bardziej całe nasze jestestwo, poprzez szranki, dzielące istoty od siebie, miesza się z emanacjami wyższymi i jaśniejszymi i dzięki nim zacznie dojrzewać duchowo i dorastać do stanu, który pozwoli nam bez pomocy medjumizmu utrwalić się na stałe w świecie czystej duchowości. A wówczas nie zaznamy już więcej poniewierki ducha i wałęsania się po bycie tu i owdzie w charakterze obcych, ale wszędzie i zawsze ojczyznę dla siebie i tylko ojczyznę znajdować będziemy.

„Jest to jednakże również pewna wiara w du-

chy“ — powiedzą nam na to. — Owszem, ale ta wiara nie opiera się na żadnych dowodach materialnych. Rzeczy pozornie niemożliwe dadzą się osiągnąć jedynie odzewnątr, a rozwój zmysłów mistycznych jest tylko kwestją gotowości do rozwijania się. Gotowości tej nie dadzą nam, nie wtłoczą w nas odzewnątr żadne „duchy“ ani żadne medjum, żadne materializacje.

Musimy się nauczyć wierzyć jedynie w nas samych, w ten bezkres możliwości, który nas cechuje, albowiem, jak to już sformułowaliśmy w naszym szkicu „O nieśmiertelności cielesnej“: „Wiara jest intuicyjną zdolnością do wyczuwania tej części prawdy, która nie objawiła się nam jeszcze w sferze czysto umysłowej“.

NARODZINY MYŚLI

Nowe myśli stanowią źródło nowego życia. Gdy pomysł wynalazku jakiegoś lub odkrycia zaświta w głowie twórcy, radością go napędza, rozkoszą i zachwytem; krew w jego żyłach w nowym krąży rytmie, i każda komórka zda się odrodzona. Pisarza lub artystę nowa koncepcja unosi na zawrotne wyżyny ekstazy.

Mam tu na myśli oczywiście tylko duchy istotnie twórcze, rzadko spotykane, a nie tych licznych „twórców“ w cudzysłowie, którzy zapalają swoją latarenkę od cudzego ognia i tylko szkło w niej nieco inaczej zabarwiają.

Dobra wiadomość, otrzymana w okresie smutku i przygnębienia, uśmiechające się nam ziszczenie nadziei, zażegnanie grożącego nam niebezpieczeństwa — to wszystko ostatecznie jest też tylko rzeczą duchową, daną w myśli, obrazem, do którego tęsknimy z upragnieniem, nie zaś samym przedmiotem naszego pożądania; a przecież jakże ciału naszemu sił dodaje! Przykuwające nasz wzrok widowisko, spotkanie z kimś, kto bardzo silny ma dla nas urok, dążenie, czyn, dzieło, które nas zachwycają

i bodźca nam dodają — wszystko to jest dla ciała żywym pokarmem i podniecią. W podnieceniu i kontemplacji znika poczucie potrzeb ziemskich — znika naprawdę, a nietylko zostaje zagłuszone.

Albowiem nie samym chlebem człowiek żyje — istota nasza domaga się wciąż odnowa stawy duchowej coraz świeższej. Dzieło sztuki, jakkolwiek ponętne i pełne czaru wtedy, kiedy je widzimy albo słyszymy poraz pierwszy, urok swój z czasem traci, a tęsknota do zmiany, do różnorodności opanowuje każdego człowieka uczciwego, nawet gdyby miał przez to oderwać się od duszy najbardziej wartościowej, od osoby najmiłszej, od której doznaje wyłącznie dobrego.

Tęsknota to może tylko przemijająca, do zmiany chwilowej. Albowiem sztuka, dramat, opera, artysta, podobnie jak człowiek kochany, mogą po pewnej przerwie w obcowaniu z niemi dostarczyć nam znowu wrażeń tem silniejszych, zwłaszcza jeśli tymczasem zmieni się i rozrośnie własna istota nasza lub ich (gdy o artystę chodzi).

W tym sensie każde krzepiące nas na duchu wzruszenie można nazwać pokarmem lub stawą, i od rodzaju tej stawy duchowej zależy w ludzkości więcej, nawet gdy chodzi o drogę do cielesnej jej doskonałości, niż od zjadanych przez nią śniadań i obiadów. Dopiero bowiem to jest prawdziwy „chleb żywota“. Podobnie, jak zawsze ma człowiek

chęć na świeże i smaczne potrawy, tak też i myśli potrzeba mu ciągle w treści i formie świeżych — albo przynajmniej powinien ich pragnąć.

Tej podstawowej i zdrowej potrzebie ludzkiej zawdzięcza też swój niesłychany rozkwit i prasa codzienna; a temu rozkwitowi ludzkość ma z kolei do zawdzięczenia część upadku swego, gdyż w tym wciąż jednakowym korowodzie zabójstw, kłamstw, oszczerstw, oszustw, tandety, partactwa i marności nową jest codziennością, a biedny znarowiony tłum wiecznie oszukiwanych czytelników kupuje czarną farbę drukarską zamiast żywego słowa życia, nie zauważając, że zabójstwo przy ulicy X. tem tylko się różni od zabójstwa przy ulicy Y., iż jedno było w środę, a drugie we czwartek. W ten sposób prasa wyrzuca codziennie miliony egzemplarzy swoich dosłownie jednodniówek w błoto, z którego pełnie zawsze to samo robactwo.

Wieczne bowiem powtarzanie tej samej starej myśli upadek w sobie kryje, sprowadza rozkład gnilny ciała i rozkład ducha.

Czy nie byłoby to możliwe, abyśmy codziennie rano budzili się z pewnością, że i ten dzień, i wszelki, który przyjdzie po nim, przyniesie nam w darze spotęgowanie życia? Jakaś radość odkrywcy: coś pożytecznego i darzącego szczęściem — nas i bliźnich naszych — coś, co posiada trwałość — albo ten fakt, że jakieś gotowe poznanie,

które wczoraj jeszcze sprawiało wrażenie czegoś bez reszty skostniałego, nagle znów ku podziwowi naszemu rozkwita i zupełnie gdzieindziej, niżesmy przypuszczać kiedykolwiek mogli; to zaś poznanie wskazuje nam drogę do całego mnóstwa niewinnych i silnych, a trwałych radości... Oto źródła szczęścia. Jakieś prawo natury, wielkie zarazem i proste, odsłania się przed nami poraz pierwszy — delikatne, miłe a nieskończone — i przytem objawia nam się ono w jakiejś „drobnostce“, jak dotychczas zwykliśmy byli mówić: w oblatywaniu liści z drzew, w zmianie zabarwienia jakiegoś żyjątką...

Wszystkiemu, co żyje, natura bez przerwy czyni miljardy propozycy, i stosownie do tego, czy zostaną one przyjęte czy odrzucone, powstaje z nich słoń, skrzeczek, orzeł, palma, baobab, albo jakiś święty.

Meduza (że bliżej wchodzić tu w jej życie i ustrój nie będziemy) ma jeszcze stosunkowo niewiele organów, a z niemi dość też skromną możliwość wyboru pomiędzy mirjadami owych propozycy — a jednak i jej jakoś życie się udaje. My o ileż większem rozporządzamy polem do odczuć, prób i myśli! Jak wypełniony treścią, jak bogaty być mógłby każdy nasz poranek, gdybyśmy tylko mieli do rozporządzenia dosyć wielką i czułą membranę duchową, aby swobodnie i wrażliwie reagowała na te oferty przyrody.

I gdybyśmy miast tego od dziecka nie woleli pozwalać zabazgrywać ją zabobonami, przesadami, dogmatami, zdaniem martwemi. Cóż za szaleństwo — dopuszczać do tego, aby nam w ten sposób żywe nasze wnętrze nagłucho замуrowywano! Wiecznie jakiś rytuał, jakieś obłąkanie głupstwem bombastycznym, jakieś twory fałszywe, sztuczne i niezdarne przekładamy nad siebie samych i jasną, czystą, wyraźną jaźń własną!

Nie, jeszcześmy się nie zbudzili do tej pełni świadomości, by stać się odbiorcami myśli, z nieskończoności do nas spływających, i wraz z myślami temi osiągnąć istoty rzeczy zrozumienie, a wraz ze zrozumieniem osiąść potęgę bez granic; bo przecież nieskończoność na tem właśnie polega, że jest jak bank, który wypłaca i wypłaca, a nawet najbardziej wytrwały gracz nigdy rozbić go nie zdoła. Kiedyż nareszcie przestaniemy podpatrywać się wzajemnie, zazdrościć sobie swoich wynalazków, dóbr, stanu posiadania, polować na siebie, by je sobie wydrzeć; my — śmieszni i godniliwości, jak ci głupcy, którzyby, nad brzegiem Misissipi stojąc, bić się chcieli o marną szklanek brudnej wody, zamiast zanurzyć dłonie w wiekuisty strumień.

Kto chce w ten sposób twórczo czerpać, ten musi

przedewszystkiem uwolnić sobie ręce i pozbyć się skurczu w nich, wywołanego dźwiganiem brzemienia przeszłości.

W każdym, chociażby najszcześniejszym życiu są tysiące rzeczy, tysiące scen, wydarzeń, o których lepiej byłoby zapomnieć; należą do nich również, i może przedewszystkiem nawet te t. zw. szczęśliwe wspomnienia; albowiem i szczęście starzeje się, jęlczeje. Poziom radości również powinienby móc się z roku na rok wznosić, by ponętniejsze dla nas było każde jutro od każdego wczoraj. Ten, kto zapomina, robi sobie miejsce dla nowych myśli w duszy, więc dla nowego życia. Lecz kto się hermetycznie zasklepia w szczęściu własnym, minionem czy obecnym, ten się też z niem razem starzeje, szarzeje.

„Zapominanie“ nie jest jednoznaczne z zupełnym wygasaniem, któreby zresztą nawet niepodobieństwem było, bo wszak jesteśmy wszyscy sumą swych doświadczeń. Każde słowo, zapach, scenerja, pocałunek są organicznymi częściami nas samych, zrosły się z naszą jaźnią, jakkolwiek niewidoczne są może w tej chwili, zatarte i w odległej przeszłości pogrzebane, zawsze jednak gotowe wyłonić się, mocą jakichś praw kojarzenia, nad próg świadomości. Przestrzegać należy jedynie przed upartem, manjackim odświeżaniem i odgrzebywaniem jakiejś określonej jednej grupy wspom-

nień, bo to wytwarza skłonność do ich przeceniania. Istotnem doświadczeniem jest to, co zapomniane, co tkwi w niepamięci. Kto chce w tempie zwyciężskim prosto, jak strzała, zmierzać do doskonałości, temu nie wolno wlec za sobą wozu nierównomiernie, źle obciążonego.

Są ludzie, co odnowa wciąż przeżywają w myśli dawno przebrzmiałe walki ze starymi swymi przeciwnikami, a te trwające całemi latami homerowskie boje „duchów“ za każdym razem kończą się z zasady druzgoczącą porażką ich nieobecnych wrogów. Sami z sobą i dla siebie nawiązują oni wciąż odnowa tę samą nieskończenie bogatą w przyjemne dla nich warjanty historję, której punktem kulminacyjnym jest rozkoszne zakończenie: oto stoi przed nimi pobity przeciwnik, jak pies pokorny z podkulonym ogonem, trzęsący się z żalu, doszczętnie zdruzgotany i unicestwiony postawieniem mu przed oczy wszystkich jego nieprawości. Ktoby zaś przypuszczał, że tego rodzaju taniutkie szukanie sobie solipsystycznego samozadośćuczynienia za coś, co już się stało i odstać się nie może, jest rzeczą niewinną, zabawką bez znaczenia, ogromnieby się mylił. Przeciwnie, jest to bodaj największy zbytek, na jaki tutaj pozwolić sobie można: okupuje się go kosztem własnego życia. Kto w ten nałóg popadnie, chodzi jakgdyby w chmurze trupiej trucizny psy-

chicznej; ten pograża sam siebie w autohipnotyczny stan życia pozornego, życia w czasie przeszłym, oddawna zbutwiałym; ten dla urojonych triumfów w przeszłości poświęca możliwe do odniesienia, rzeczywiste swe zwycięstwa przyszłe. Mścić się w ten sposób, to działać w imię rzeczy przebrzmiałych, czyli fałszywie nastawiać energję o całe 180°.

Nikt też nie zdoła zachować ciała swego rzeźbiem, zdrowem i pięknem, kto karmi je myślami wyjałowionemi — wydzielinami swych przestarzanych jaźni. Nowy przypływ ducha, rodząca się przyszłość zastaje komórki duszy jego zakłajstrowane. Mięśnie, krew, kości, szpik w nich zmieniły się oto w zdrętwiałą otoczkę napół martwego ducha; a tak wciąż na nim narastająca kora musi ciężarem swoim sprowadzić nań w końcu słabość i udrękę. Tylko kto zrzuca z siebie zużyte swe skorupy, prac naprzód w świat nowości, na tego spływa życie młode z młodem i myślami, a te z kolei stwarzają w nim sobie nowe, dla siebie odpowiednie ciało. „Móc każdego dnia umrzeć“, znaczy, że jakaś nasza wczorajsza myśl już dzisiaj napewno należy do rzędu umarłych. Zdrowo rosnący duch musi pod koniec każdego dnia na zawsze zakończyć rachunki z jakąś częstką samego siebie, która się przeżyła; chcieć z niej dalszy robić użytek — to tylko rze-

czę szkodliwą być może. Substancja psychiczna raz po raz musi być odnawiana, podobnie jak naskórek, który codziennie zrzuca z siebie zużyte komórki, bo w przeciwnym razie cierpiałoby na tem oddychanie skórne, obieg krwi, odżywianie i cały organizm.

Kto potrafi spotęgować w sobie odnawianie myśli, ten w ciągu dni niewielu przeżywa całe światy. Dla takiego człowieka szczęście stanie się niemal niezależnem od miejsca, czasu i okoliczności; może on je zmusić, by mu towarzyszyło nawet do więzienia, gdy tymczasem inni więdną po pałacach, zamknięci w więzieniu dawnych swych wyobrażeń. Jest to droga do osiągnięcia prawie całkowitej niezależności ducha od materji — a *n i e z a l e ż n o ś ć* to *p o t ę g a*. Dopóki nie umiemy obchodzić się zupełnie bez jakiegoś człowieka, potrawy, lekarstwa czy środka podniecającego, dopóty jesteśmy ich niewolnikami. Z kazamatów podobnego ubóstwa cielesnego tudzież duchowego wydostanie się jest możliwe tylko na skrzydłach nowych myśli, i to takich, nad których rodzeniem się w nas panujemy. Nikt nie może długo pozostawać ubogim w zwykłem znaczeniu tego słowa, kto w naszym znaczeniu bogaty jest na duchu. Ale duchowy bogacz nie pożąda nigdy więcej, niż mu potrzeba po to, aby z każdej godziny dnia każ-

dego wypić całą zawartą w niej rozkosz. Nie troszczy się o starość, bo poznał, że samo zabieganie o nią zabiegliwego już postarza, jako że ten wtedy na całe dziesiątki lat naprzód z konieczności wyobraża sobie siebie, jako zwiedłego, zniedołężniałego, niesamodzielnego. Przeciwnie tym właśnie nieszczęściom starości tytułem kompensaty ma on gromadzić pieniądze, więc coś materialnego; tymczasem te nieszczęścia już teraz, pod postacią manjackiej troski i niepokoju, opanowują całkowicie myśli tego „zapobiegliwca”. Typowy to przykład złego stosowania siły myśli — wręcz podstawowy, klasyczny — arcyprzykład!

Tylko wzrost — rozwój — irradjacja, czyli promieniowanie siły ducha na sferę materialną mogą zatriumfować nad tego typu złemi przyzwyczajeniami i ciało podtrzymać, odmłodzić je, odmienić. Nie w tem leży nadzieja ocalenia od hańby starości i śmierci, że się marnuje młodość w niewoli u myśli o starości, ale w tem jedynie, że to „ja” swoje, dziś jeszcze małosłowne, politowania godne, ciska się w olbrzymi odradzający prąd stających się cudów i nadchodzącej wiedzy.

Taką moc ducha zaczynamy hodować w sobie i rozwijać, gdy tylko przeniknie nas wiara w jej przewagę nad światem materji — gdy zdobę-

dziemy przekonanie, że cokolwiek, jako cząstka tej mocy, wytrwale marzymy, myślimy i pod postacią woli z siebie wypromieniuujemy, to wszystko przez ten proces myśli i woli naprawdę realnie stwarzamy. Marzenia i myśli, a więc i twórczość ludzka, wskutek niewiedzy naszej, szły dotychczas zawsze w fałszywym kierunku. „Głowy, jak u chrabąszczów” mamy i wrzynamy się niemi coraz głębiej i głębiej w zbutwiałość gleby ziemskiej.

Przytoczę jeden przykład. Pierwsze zdanie, którego uczy się dziecko europejskie na lekcjach logiki, brzmi: *Wszyscy ludzie są śmiertelni, Caius jest człowiekiem, więc Caius umrzeć musi*“. Wszelako „wszyscy” ludzie jeszcze się dotychczas nawet nie urodzili, a cóż dopiero mówić o tem, że umarli, że są śmiertelni; jakże więc można ludzi dotąd nieistniejących, co do których niema dotychczas żadnych danych, podciągać fałszywie, ukrytą kontrabandą, pod pojęcie „wszystkich”! I to w ten sposób dzieci logiki się uczą!...

Jednakże wiele osób tkwi dotychczas w pierwotnych, błędnych wyobrażeniach szóstego dziesiątka lat zeszłego wieku, kiedy to ducha dobrze, jeśli co najwyżej raczono tolerować, a i to niechętnie, jako że uważano go za zjawisko uboczne i za rodzaj przeszkody w mechanice

świata; wiele osób nie nauczyło się dotąd widzieć cud niepojęty już w tem, że tlen i wodór wzajem się przyciągają, że między pewnymi pierwiastkami chemicznymi zachodzi powinowactwo, a między innemi nie zachodzi: Empedokles nazywał to „miłością i nienawiścią“, które przekształcają świat chaosu w uporządkowany kosmos. Lecz zbyt wielu jest jeszcze na świecie płaskogłowców i ćwierćwykształconych (a to znaczy gorzej, niż niewykształconych); ci kamienieją w swojej dogmatycznej filozofji kieszonkowej dla ubogich duchem, jakgdyby miała ona wartość po wieki wieczne. Wszyscy oni, w miarę swoich sił drobniańskich, mogą o późnić przyjście cudownej epoki — wstrzymać jej nikt nie zdoła.

Jej przyjście jest już bliskie, i nie dlatego bliskie, że ja albo kto inny coś na ten temat twierdzi, mówi albo pisze, lecz dlatego, że istnieje cała moc duchów ludzkich, burzliwie wzrastających i rwących się naprzód — miljarde mózgów, stojących dziś u progu każdego pragnienia, życzenia i tęsknoty, w przeciwieństwie do poprzednich, słabo zaludnionych epok. Szóste stulecie przed Chrystusem było z całą pewnością bogatsze w ludzi nader wybitnych, niż jakiegokolwiek inne (Konfucjusz, Buddha, Pytagoras, Heraklit, Eleaci), lecz były to jednostki, a narody, które ich wydały, choć na bardzo wyso-

kim poziomie stojące, były jednak wówczas zbyt rzadko rozsiane po powierzchni globu, by móc wywierać trwałe działanie materialne. To, co dziś jeden człowiek, bodajby przeciętny, wypromieniowuje z siebie, jako swoją wolę, znajduje dokoła o wiele więcej czynników, życzenie jego podtrzymujących i rozpowszechniających, bo wskutek przeludnienia ziemi eter duchowy zgęstniał.

Jeszcze nigdy świat otaczający nas oraz świat, działający na nas i przez nas, nie były tak, jak dzisiaj, gotowe do poczęcia.

Wystarczy, aby nieliczni, jako straż przednia, parli naprzód i niestrudzenie zwiastowali: „Przecież tak sprawa stoi, że oto tutaj — tuż, tylko ręką sięgnąć — leży niewyzyskana najpotężniejsza z wszystkich sił przeistaczających: chcąc myśl — realność, coś rzeczywistego i działającego; wzbiera ona, pęcznieje i wytryska, skrzy się poprzez przestrzeń — budująca i burząca, uzdrawiająca i zabijająca, mnożąca bogactwa i niweczająca je — czynna i w złem i w dobrem o wszelkiej godzinie dnia i nocy — we śnie i w czas czuwania — rzeźbiąca oblicza ludzkie i ciała, barwiąca je i kształtująca na trwałą doskonałość lub chwilowy rozkład“.

Drogi mój bliźni, zanim się poświęcisz całkowi-

cie interpelacjom w parlamencie, rozdawnictwu zupy między inteligencję podupadłą, dostarczaniu wełnianych pończoch murzyniątkom, zbieraniu znaczków pocztowych lub szczoteczek do zębów z epoki Karolingów, albo uganianiu się za nowym rodzajem plamki pod ogonem u dzikiego słonia, spytaj samego siebie, czybyś też nie poświęcił części swego życia na to, aby na własnym ciele wypróbować proponowane tu metody chcenia i myślenia. Próba ta nie wymaga żadnego specjalnego „wykształcenia“, żadnego zdawania egzaminów, żadnych wydatków pieniężnych — ba! nie potrzeba potemu nawet wiary, aby ją przedsięwziąć.

Nie głosimy też żadnych dogmatów, mówimy ci tylko: spróbuj sam. Gdyby jednakże, jako rezultat tej próby, zaczęły występować u ciebie jakieś bodajby zaczątkowe objawy w oczekiwanym sensie, czyż byłoby rozsądne chcieć zakreślać granicę dalszym ich możliwościom, mówiąc: dotąd, lecz nie dalej? Wiara i zaufanie zrodzą się w twojej duszy, jako elementarny wynik, prosty ciąg dalszy uczynionego doświadczenia.

Jakiś czyn lub cel inny mógłby się pod względem znaczenia dla ludzkości równać z perspektywami, które się tutaj otwierają! A że celu tego dotąd nikt jeszcze nie osiągnął, to właśnie ty bądź pierwszym! Pokaż, jak

można siebie samego przeistoczyć w żywą wszechpotęgę — jak w spółnictwie z innymi, do tego samego zmierzającymi celu, można na własnym ciele udowodnić, że siła i zdrowie zdolne są skutecznie opierać się starości — że chorobę można usunąć raz na zawsze — że bogactwo i genjusz wypływają, jako naturalne skutki, z metod i praw, dotychczas stosowanych tylko w sposób niedoskonały albo nieświadomy. Życie zaś nie jest rzeczą przelotną, beznadziejną, za jaką dotychczas uchodziło nawet w wypadkach najszcześliwszych, najrzadszych, wyjątkowych. Dopóki bowiem człowiek musi umierać wtedy, kiedy ledwie zaczyna coś z życia rozumieć, dopóty wszyscy ci genjusze, uczeni, filozofowie, artyści i wieszczowie — są tylko *c z e m ś c h y b i o n e m*, *cz e m ś p o r o n i o n e m* — to wyspy zapomnienia po drodze ku śmierci.

A ludzkość pragnie przecież wciąż czegoś lepszego. To jej pragnienie, ten jej krzyk wzbiera stale po przez ciąg stuleci — i własne ziszczenie swe kształtuje sobie z Rzeczy Niewidocznych. Doskonałość stanie się zrazu udziałem niewielu — potem wielu — w końcu wszystkich. Ludzkość podąża ku nowemu światłu, nowej wiedzy, nowym, żywym rezultatom.

Czas ma tylko jeden wymiar, jeden kierunek:

naprzód! Że zaś i my z nim razem naprzód się posuwamy, tedy lepiej też będzie spoglądać przed siebie. Wiekuista, potężna, tajemnicza siła popycha nas gościńcem czasu wprost ku rzeczom dotąd nieprzeżytym. Przeistoczeniu w czasie nie zdołają się oprzeć nawet najbierniejsi i najbezwładniejsi, najbardziej nieokrzesani lub skostniałi. Wielu jednak podąża wraz z czasem, obróceniem plecami do przyszłości, z wzrokiem utkwionym w przeszłość. Przez tę fałszywą swą postawę wzmagają oni tylko zło, chorobę, cierpienie i upadek.

Brzmi to bardzo niezwykle, kiedy powiadamy, że cały los nasz w życiu, i szczęście i nieszczęście, zależą, jak mówimy, od tak prostych zwyczajów: od kierunku ducha. Ale t. zw. rzeczy „proste“ przy dokładniejszym w nie wniknięciu okazywały się dotąd zawsze, jako najgłębsze — rdzeń i prajawiska.

Nie żadna spekulacja nad atrybutami „praprzyczyny“ ma nas zajmować przedewszystkiem — chodzi o to, by odkryć w przyrodzie takie środki, które prowadzą w określonym kierunku do określonych rezultatów. Gdy tylko wyrobimy w sobie żywo tętniącą pewność, że co się tyczy zdrowia, wdzięku, bogactwa, umysłu, stanowiska, zdolni jesteśmy przetwarzać w rzeczywistość myśli nasze i pragnienia, w takim razie pierwszy naczelny cel nasz zo-

stanie osiągnięty — posiadziemy „perłę wysokiej wartości“; na dowód zaś, żeśmy się stali przez to naprawdę mądrzejsi i żeśmy dojrzeli do następnego kroku, pośpieszmy z pomocą naszemu sąsiadowi, aby i on odszukał w sobie ową „wysokiej wartości perłę“, gdyż każdy tylko to tutaj znajduje, co jemu jednemu znaleźć jest przeznaczone; i nie nikt nikomu w ten sposób nie odbiera, a wszyscy się bogacą, gdyż wraz z liczbą wiedzących i wtajemniczonych wzrasta ogólna siła: każdy, któremu pomożono, automatycznie staje się pomocnikiem innych.

Codzienny napływ nowych idei przynosi z sobą nową moc i władzę. Jej milcząca w nas siła zachęca, pobudza do czynu i doskonalenia się inne jestestwa, które w ten sposób świadomie czy bezwiednie współpracują z nami.

Na wyższych szczeblach uduchowienia wszyscy są radośni, żywotni, pogodni i pewni zwycięstwa. Wzniesli się oni w swym rozwoju do pojęcia prawa i dowiedli samym sobie jego słuszności. Wiedzą, że pewne przywiązania duchowe, rodzące pragnienia, tudzież z nich powstające opanowanie myśli wywołują trwały przypływ szczęścia, władzy i potęgi, — bo szczęście i potęga muszą iść z sobą w parze. Potęga nie jako niewolenie

innych, lecz jako możliwość wolnego działania, jako swoboda i przestwór dla życia.

Wiedzą oni, że wszelkie przedsięwzięcie, zgodne z kierunkiem Nieskończonego Prawa, musi mieć powodzenie. Życie stanowi dla nich jedno pasmo zwycięstw, a serca ich tak są pełne pewności siebie, jak pewnikiem jest dla nas to, że ogień płonie, a woda go gasi. Z tą oazą wyższego życia w styczność wejść możemy przez głębokie, trwale i uporczywe pożądanie (nie przez żebranie ani nieokiełznane parcie naprzód) — i z tej oazy czerpać możemy nowy, życiodajny fluid. Drogę do tego tak wartościowego obcowania z umysłami najczystszymi toruje nam wysiłek, zmierzający do pozbycia się wszystkiego tego z istoty naszej, co mętne, zazdrosne i kłótlive. Myśl, która nam szkodzi, jest zawsze nieczysta. Złe przyzwyczajenia całego dotychczasowego życia naszego sprawiają, że w początkach trudne nam się wydaje władcze opanowanie samych siebie, lecz wytrwałe dążenie, wyższe aspiracje z czasem coraz łatwiej będą niweczyły wszelkie skłonności przeciwnie. Nieczyste myśli są jak wysypka eteryczna na źle pielęgnowanej duszy — zamykają nam wstęp do „dobrego towarzystwa“. Na wyższe instynkty, na delikatniejszych pomocników aura danego człowieka oddziaływać może, jak powietrze kłoki, albo też przeciwnie, jak gaj kwitnących krzewów.

Ten i ów wielki pisarz, artysta, wódz — wogóle przewodnik ludzkości w jakiegokolwiek dziedzinie życia — wielkość swą osiągnął, być może, w znacznej części na drodze medjumicznej, jako tuba, przez którą przemawiały takie właśnie wyższe inteligencje, tacy niewidzialni pomocnicy nasi. Może dusza jego pozostała skądinąd małą, próżną, pospolitą i trywjalną, lecz w jakiś sposób, bliżej nam nieznany, miał on w wielkości udział. W pewnych, wybranych chwilach coś się w nim rozwierało, zstępowało na niego bezgraniczne oddanie się duchom, i stawał się medjum, wybranym nosicielem cudzych uduchowień. W tych momentach odbiorczych wystawiał on czułą membranę swej duszy całą jej powierzchnią na działanie promieni i wirów o wiele potężniejszych i delikatniejszych, niż było to dane jego dniom powszednim. Obladowany darami astralnymi, wracał potem do siebie. Albowiem:

Niedaleko doprawdy zaszedł ten w sztuce swojej,
Kto w dziele dał nie więcej, niż napisane stoi.

Były to podpowiedzi, sugestje, podszepty, na które miał podatne i wrażliwe ucho.

Dla istot duchowych, a więc pławiących się w bogactwie, jest nieodzowną koniecznością podzielić się z innymi swojemi wizjami słodczy i siły,

uczynić bliźnich wizyj tych uczestnikami. Bogacze ducha gotowi są w tym celu uciec się do wszelkiego rodzaju pośrednika, do wszelkiego środka, który im jako tako skutecznym się wyda. Szukają oni drogi najmniejszego oporu — takie jest prawo natury. Wszystkie umysły wyższe są, jak ocembrowane źródła: woda z nich bije, tryska i tryska bez ustanku. Dla umysłów tych dawanie jest nie obowiązkiem, ale uwolnieniem się od nadmiaru, ulgą. Gdy myśli osiągną odpowiedni stopień dojrzałości, muszą się oderwać od macierzystego łona ducha, jak zbyt ciężkie owoce od zwiśającej pod ich brzemieniem gałęzi.

Te siły, dusza, „duchy“ — nazwa jest obojętna — pochodzące ze sfer wyższych, znajdują sobie tedy na tej ziemskiej glebie wrażliwy organizm, działają na niego w pojedynkę lub, wkrag go otoczywszy, tworzą dokoła niego właściwą sobie atmosferę, w której on, wywyższony ponad swą codzienność i szczupłe swe siły, na jakiś czas potrafi unosić się i bujać „swobodnie“, jak ów magnes, pomiędzy potężnymi szpulami zawieszony, które go swem działaniem na odległość w doskonałej utrzymują równowadze. Taki krąg duchowej atmosfery działa jak podnieta na wszelki wrażliwszy, podatny organizm. Wznosi go, dźwiga i podtrzymuje, wywyższa nie na miarę drobnych jego sił własnych. Przez chwilę widzi on rzeczy i sprawę tego świata w świe-

tle wyższego życia, a więc czystszemi, niż w tem życiu, które zazwyczaj go otacza.

Staje się upojony, natchniony, rozświetlony również i z tego względu, że subtelna i mocna substancja myślowa „pomocników“ jest rozplamianym narkotykiem, który działa proporcjonalnie do delikatności i ognistości osobnika działaniu poddanego. Podniecie taką nazywa się zazwyczaj „magnetyzmem osobowym“. W nim leży tajemnica tego zagadkowego, nie dającego się niczem wytłumaczyć pociągu, jaki niekiedy czują do siebie ludzie. Są wprost pijani sobą, upojeni fluidem, który wzajemnie jeden z drugiego wchłaniają.

Dwóch chorych oto miłość wspaniała
Jednego drugiemu na lekarstwo dała“.

Na każdym stopniu i w każdej dziedzinie, w dążeniu do celów wielkich, czy to wzniosłych czy niskich, działa któryś z rodzajów narkotyku „ducha“. Ani jedno zdarzenie na większą miarę, ani jeden czyn, wynalazek czy dzieło sztuki nie powstaje nigdy całkowicie dzięki tylko jakiejś istocie pojedynczej, po za obrębem zapładniającego eteru środowiska. Jesteśmy wszyscy częściami całości: co powstaje bez jej pomocnej rady, bywa „bezaradne“, niedołężne. Komu się zdaje, że w istocie jest inaczej, ten ulega złudzeniu przez zarozumiałość.

Natchniony poeta, uczony, wynalazca, czy mąż

stanu może chadzać w glorii wielkiego imienia, chociaż nie całkowicie zasłużył na swą sławę. Jego dzieła i czyny były częściowo wynikiem skoncentrowanych na nim sił współdziałających z nim umysłów, rodem z niewidzialnego świata. Wyładowały się one na niego, który był chętnym, życzliwym ich odbiorcą i przeszkód im nie stawiał; a potem, ulgi w ten sposób doznawszy, uniosły się wzwyż, w sfery, gdzie eter duchowy jest już zapewne zbyt subtelny, aby móc się udzielać ziemskiemu środowisku.

W świecie ducha, im szybciej, im szczerzej się daje i udziela innym, tem rychlej napływają ku nam z powrotem nowe prądy. Kto drży o swą duchową własność, ten osłabia przez to i zuboża swą zdolność odbiorczą. Kto jest pośrednikiem, który przekazuje innym siły, przezeń przepływające, ten musi też dbać o to, aby w nim nic nie hamowało wolnego tych sił przepływu. Z chwilą, gdy tylko „zamazynuje” w sobie jakąś ideę, prawdę, wynalazek, postanawiając je zachować w y ł ą c z n i e dla siebie, zagwaźdza się i zatarasowuje w sobie drogę przewodnictwu. Tego rodzaju skąpstwo i nieużytość zubożają człowieka pod wszelkim względem. Kto hojnie obdarza, hojnie odbierać będzie, i z tego nadmiaru łącno w każdej chwili będzie mógł dość dla siebie zatrzymać na pokrycie swych materialnych potrzeb.

Idee, pomysłowość są u niektórych ludzi rze-

czą poprostu przyrodzoną. Twórcami i wraz wchłaniającymi są oni od natury. Idee, w nich żyjące, starają się wzlecieć ku najwyższej formie istoty świata i zmuszają ich, swych twórców, do jak największej wielostronności i ducha i czynu. Radosna konieczność, której podlega taki człowiek, ów twórca w nim pierwiastek, który go zmusza do rozwinięcia całkowitej jego osobowości, przynosi mu też co najlepsze części z całego świata, aby je sobie przyswoił i na wzniesienie gmachu własnego „ja” zużył. A ponieważ jest on nietylko pośrednikiem, medjum, a więc czemś przepuszczalnym, biernie dostosowanym i wrażliwym na pewne określone wpływy, ale zarazem stanowi sam w sobie mały, lecz całkowity kosmos, zdolny jest przeto, na zasadzie prawa o odpowiednikach, przyciągać ku sobie i wchłaniać z wszystkiego jakąś każdej rzeczy część — uczestniczyć we wszystkim, albowiem sam jest wszystkim i, nawet wchłaniając w siebie pierwiastki obce, pozostaje twórczym i oryginalnym. Myśli innych istot z jego myślami w nowe związki „chemiczne” wstępują; wszystko, cokolwiek z nim się zetknie, zostaje przezeń przerodzone i w nowem ukazane światło — zyskuje młodość, świeżość i zarazem godność.

Im czystsze i naiwniejsze jest czyjeś spojrzenie na świat, im bardziej bezinteresowne jego stanowisko duchowe w stosunku do zapładniających go i uzu-

pełniających rzeczy, tem szybciej powstają w nim nowe połączenia myśli, tem oryginalniejsze jest wszystko, czegokolwiek się dotknie. Jest to fakt, nie dający się coprawda niczem dotychczas wytłumaczyć, lecz nie mniej fakt niezbity, że prawość i niewinność stanowią samodzielne pierwiastki oraz czynniki działające w takich właśnie duchowchemicznych procesach.

Medjum-pośrednik, przez słabość lub egoizm, zadowala się rolą strony wyłącznie odbiorczej. Posługuje się cudzemi myślami, nie troszcząc się zgoła o ich prawowitego właściciela albo twórcę, a nawet nie zdając sobie wogóle sprawy, jakiego pochodzenia są owe skądś mu zesłane idee. Ale nie zawsze są pod ręką duchy, u których tak łatwo można się zapożyczać, przychodząc, że tak powiem, wprost do gotowego i nie poddając nawet zapożyczonego materiału własnej „przeróbce uszlachetniającej“. Dla każdego kiedyś, w tem czy innem życiu, musi nastąpić taki okres, gdy duch, zdany zupełnie na samego siebie, ocknie się nagle bez wszelkich środków do istnienia, kaleki, zubożały przez tę jednostronność, którą wytwarza zawsze trudnienie się wyłącznie i tylko pośrednictwem. I gorzko odczuje wówczas brak zdolności do przetwarzania surowca duchowego we własnem swoim centralnem ognisku.

Nasza rada głosi: starać się usilnie o moc twórczą w rzeczach ducha, otoczyć troskliwą

opieką najniklejsze jej zaczątki, a zrzec się jak najwcześniej wszelkich, nawet najoczywistszych korzyści, płynących z pośrednictwa.

Tak — odpowiedzą na to — ale po czem to poznać, że jest się pośrednikiem?

Po jednostronności myśli, idei, pomysłów — odpowiemy. U pośrednika zdają się one zawsze, jak rój gwiazd spadających, wychodzić wszystkie tylko z jakiegoś jednego określonego punktu, jakkolwiek wielką przestrzeń na niebie zajmują. Probierzem istotnej siły twórczej będzie zawsze to, że występuje ona we wszystkich dziedzinach życia, i w jakimkolwiek jego punkcie się znajdujemy, wszędzie jest w gotowości. Przebiega serce nasze, jak goniec z pochodnią, we wszelkich kierunkach. Pośrednik zaś przeciwnie, musi utknąć w jakiejś jednej strefie ducha, pod jednym określonym kątem pomysłowości na wszystko reagować — i to stanowi jego zasadniczą cechę.

Dopisek. Pozwolimy sobie zwrócić tutaj uwagę na zachwycającą książkę Aleksandra Moszkowskiego „Der Sprung über den Schatten“. Z niej wzięte zostało spostrzeżenie o nieudowodnionej przesłance w cytowanym powyżej przykładzie z logiki szkolnej o nieśmiertelnym „śmiertelnym Caiusie“.

O WIELKIEJ SZTUCE ZAPOMINANIA

Chemja przyszłości będzie zapewne równie świadomie i celowo wytwarzała nowe połączenia myśli, jak dzisiejsza wytwarza po laboratorjach związki tlenu, azotu, węgla i wodoru. Możliwe nawet, że będziemy znali „chemiczne wartości“ połączeniowe myśli i ujmemy je w nowy jakiś „układ Mendelejewa“; a w ten sposób ze znanych nam pierwiastków — z banalnych komunałów — będziemy umieli tworzyć idee genialne.

Niema przedziału między tem, co zwykliśmy nazywać materjalnem, a niematerjalnem: jedno przechodzi nieznacznie w drugie. Materja jest w istocie tylko widzialną postacią pierwiastków subtelniejszych, które zwiemy duchem. Nasza myśl niewidzialna i niewypowiedziana wypływa z nas, jako substancja równie rzeczywista, jak widzialny prąd wody lub niewidzialny, niedostrzegalny — elektryczny. Myśl ta łączy się z myślą jakiegoś innego człowieka; ze stopu tych dwóch myśli tworzy się pewna nowa odmienna idea, podobnie jak z pierwiastków chemicznych nowe ciało.

Gdy pod postacią myśli promieniujemy z siebie i rozsyłamy pierwiastki nienawiści, troski i zgryzoty, uruchomiamy przez to i wprowadzamy w czyn siły szkodliwe dla ciała i duszy.

Zdolność zapominania zawiera w sobie jednocześnie zdolność odpędzania od siebie myśli albo pierwiastków niepożądanych i szkodliwych i powoływania na ich miejsce pożytecznych, które miast niszczyć niosą odrodzenie. Rodzaj wysyłanych przez nas myśli wpływa dodatnio lub ujemnie na nasze sprawy i interesy: usposabia innych na naszą korzyść lub niekorzyść, napęlnia ich zaufaniem w stosunku do nas lub podejrzliwością.

Przeważający w nas stan duchowy, jego dominujące zabarwienie uczuciowe nadaje kształt ciału naszemu i członkom. Ono nas czyni brzydkimi lub ładnymi, pociągającymi lub odpychającymi dla innych, a co ważniejsza — dla nas samych; wyrabia w nas ruchy, sposób chodzenia, manjery i wzięcie. Najmniejsze drgnięcie jakiegokolwiek w nas muskułu zależy zawsze od takiego lub innego naszego nastroju, takiej lub innej myśli. Człowiek stanowczy ma chód pewny siebie; przeciwnie, wątpiący, niezdeterminowany, lawirujący, zmienny, chodzi chyłkiem, chwiejnie, powłóczy nogami, sprawia wrażenie „źle na pniu osadzonego“. Stanowczość napina każdy mięsień i napęlnia go w cudowny sposób ożywczym fluidem, zwłaszcza gdy zdecydowanie

nasze zmierza do celu, który przez swe wypromieniowanie może wyjść na dobre nie tylko nam samym, lecz i innym. Mądry to egoizm, który do spraw własnych wplata cudze dobro; bo przecież w Duchu wszystkie sprawy tworzą jedną całość, i gdy pragniemy wspomóc coś takiego, co posiada wartość dla wielu osób, wówczas napływają ku nam zupełnie inne ożywiające, twórcze promienie pomocnicze. A na ich rzeźwiącym i budującym prądzie, który idzie ku nam z niewidzialnego „wszędzie“, płynie też i drobne czółenka naszej jaźni ku osobistym swym ziszczeniom. Wszyscy bowiem jesteśmy członkami jednego Ciała. Niewidzialne nerwy łączą po przez przestrzeń jedną istotę z drugą: jedna zła myśl czyjaś bije, jak puls dręczący, w całych miliardach stworzeń.

Aby ułatwić te procesy płodnego łączenia się z sobą myśli cudzych i naszych, musimy te ostatnie utrzymywać zawsze w stanie możliwie czystym i — jeśli tak można się wyrazić — „chemicznie czynnym“. To zaś osiągnąć można jedynie za pomocą sztuki zapominania, która nie jest niczem innym, jak tylko wydalaniem we właściwym czasie zużytej lub zepsutej substancji psychicznej.

Nauka zapominania jest sztuką równie ważną, jak nauka zapamiętywania.

Na innym miejscu zwróciliśmy już kiedyś uwagę

na niesłychane korzyści, które płyną ze sztuki zapominania choćby przez to samo, że pozwala nam ona usuwać dowolnie z pola świadomości rzeczy przykre, posępne i niepokojące, zwłaszcza też przed zaśnięciem, tak aby duch nasz nie kolatał się we śnie godzinami po ciemnych dziedzinach Bytu, lecz przepojony światłem i swobodny, powracał rankiem z miejsc jaśniejszych, niż wszystkie, które zna dzienna pora.

Zdarza się jednak czasem, że i żywa, radosna i płodna idea powinna całkowicie zniknąć na pewien czas z pamięci. Chcąc z możliwie najlepszym skutkiem prowadzić jakieś przedsięwzięcie, uprawiać jakąś sztukę albo oddawać się studjom naukowym, trzeba, abyśmy codziennie na pewien określony czas całkowicie o tych rzeczach zapominali. W przeciwnym razie wydepczemy sobie jakąś jedną utorowaną raz na zawsze ścieżkę i wówczas zaczniemy za cel brać drogę, do niego wiodącą, co przecież nigdy nam się zdarzać nie powinno, jeśli nie chcemy się zrutynizować. A zresztą, może milczący orszak naszych niewidzialnych pomocników sięga wzrokiem dalej od nas i dostrzega jakiś krok nieodzowny, jakiś czyn konieczny, abyśmy mogli tutaj osiągnąć najwyższe i trwałe powodzenie; my zaś jesteśmy ślepi na te zgoła niezwykle i nieoczekiwane dla nas rzeczy i nie umiemy sami przez się wstąpić na obcą nam drogę, ponieważ, jak manjacy

wiecznie to samo myśląc, wpędziliśmy się w wąską uliczkę bez wyjścia.

A czasami znowu wszystko napozór idzie, jak po grudzie, i nie chce ruszyć z miejsca, gdy tymczasem wypadki tylko czekają na to, abyśmy narreszcie przejrżeli na oczy. Ktoś, przedsięwziawszy naprzykład coś istotnie wartościowego i w dążeniu do swego chwalebnego celu uczyniwszy wszystko, co w jego leży mocy, mimo to napotyka ciągle na niepojęte jakieś przeszkody i przykrości. W takim razie niechże natychmiast porzuci niewdzięczną swą działalność, podtrzymując z niej tylko najkonieczniejsze rzeczy — te, bez których całe jego przedsięwzięcie musiałoby odrazu wniwecz się obrócić. Niech zaniecha stanowczo projektów, namysłów, ślęczenia, dochodzenia i prze-myśliwania, niech zaufa wyłącznie tajemniczej sile, tkwiącej we wszystkim, co szczere i rzetelne. Niechaj sypia, jada, rozrywek nie unika... Jeśli ma przekonanie, że uczynił wszystko, co było w jego mocy, niechaj się usunie od sprawy całkowicie, niech przestanie chcieć w niej zrobić coś sam z siebie.

Oszczędzi mu to olbrzymiego wydatku sił, które w takich chwilach stagnacji przymusowej przez nie-zdecydowanie zwykle napróżno się trwoni.

Jeżeli uda mu się „wycofać myślowo“ ze sprawy, wówczas pewnego pięknego poranku, pośród błogiego zapomnienia, gdy zajmować się będzie zupełnie czem innym, zdarzy się coś takiego, co doda mu bodźca do działania i pozwoli mu wznieść się nagle o szczebel wyżej i w tamtej pozornie zaniedbanej sprawie. A stanie się to w formie jakiejś niespodziewanej nadarzającej się sposobności, jakiejś propozycji, czegoś, czego nie mógł nikt tutaj przewidzieć. Wtedy niech się nanowo weźmie z zapałem do pracy, niechaj okazję uchwyci za włosy, niech jej z rąk nie wypuszcza i niech czyni wszystko, co będzie mógł i umiał.

Ale ciągle to samo odnowa wałkować, rozpamiętywać, co trzeba było zrobić, a czego zaniechać, znaczy to właściwie powtarzać wciąż to samo, ustawiać w szereg wiecznie te same stany myśli, z tej samej zużytej materji psychicznej wznosić te same konstrukcje myślowe, a nie być zdolnym do jedynej rzeczy, do której w danym wypadku dążyć trzeba — do zmiany kierunku i nastawienia ducha.

Gdy raz przywyknijemy przemawiać na ten sam znany temat, nigdy o nim nie zapominać i stawiać go wiecznie przy każdej okazji na porządku dziennym, staniemy się niezdolni — i to bardzo prędko — do brania udziału w toczącej się dokoła nas rozmowie. Kto się nie nauczył zapominać o sobie samym i dzięki temu interesować się naprawdę tem,

co mówią inni dokoła niego, a zdecydowany jest natomiast rozprawiać tylko o tem, co wyłącznie jego dotyczy i obchodzi, ten naraża się na istotne niebezpieczeństwo, że ludzie mieć go będą za sobkowatego dziwaka i cudaka.

Każdy monoman sam jest sobie winien, jest to bowiem człowiek, który oduczył się zapomniania. Jakaś jedna idea, do której nadmierną przywiązuje wagę, tamuje w nim swobodne krążenie i wymianę materji psychicznej, na podobieństwo obrzęku czy przerostu tkanek. Otoczenie odczuwa tę jego jednostronność, tę cichą w nim manję, pod postacią nieokreślonego przykrego uczucia, które taki manjak wokół siebie szerzy, i to niezależnie od tego, czy hoduje on swoje dziwactwa w ciszy i ukryciu, czy też je rozgłasza; każdy z nas bowiem zarabia na miłość lub nienawiść ludzką, nawet gdy nie wychodzi z samotni swojego pokoju.

Dziwak staje się często męczennikiem, lub przynajmniej wydaje mu się, że nim jest. Lecz do męczeństwa niema tutaj nigdy powodu, któregooby się uniknąć nie dało, chyba, że ten powód stanowi niewiedza. W gruncie rzeczy w męczeństwie jest zawsze brak taktu. Kryje się za niem zawsze zanik delikatniejszego pocucia formy, w której coś niezwykłego powinno być obwieszczane światu. Analizując głębiej męczeństwo, znajduje się zazwyczaj w męczen-

niku uparte, zawzięte i gwałtowne, nie cofające się nawet przed przemocą dążenie do narzucenia innym jakiejś idei w sposób dla nich wrogi i obrażający.

I Chrystus nie stanowił w tym względzie wyjątku. Przypomnijmy sobie, jakie przekleństwa i pogrozki miotał on naprzykład przeciwko tym, którzy nie chcieli przyjmować u siebie jego uczniów — i nie bez racji zresztą ich towarzystwa unikali, jako że uczniowie Chrystusa nie mieli zwyczaju mycia sobie rąk przed jedzeniem, jak to czynili inni Żydzi. „Będzie tam płacz i zgrzytanie zębów“ — czytamy — „dla takich lepiej byłoby zaiste“... itd. Chrystus powiedział również: „Nie przynoszę pokoju, ale miecz“.

Lecz oto dziś nareszcie nastał w dziejach ludzkości okres, kiedy miecz już w pochwie spoczywać powinien. Niektórzy pocziwczy nieświadomie dla samych siebie używają mieczy, gdy chcą przekonać innych o czemś według ich zdania dobrem. Postępują tak zelanci i reformatorzy, mieczem odrazy grożący każdemu, kto nie zechce słuchać tego, czego, ich zdaniem, słuchać bezwzględnie powinien — mieczem przesądów wygrażający światu i całym arsenałem barbarzyńskiego oręża przeszłości.

Nadchodzące państwo pokoju i tolerancji powstanie z głębokiej dla ludzi życzliwości — lub

nie powstanie wcale. Ludziom mówić należy o dobru, które w głębi ich dusz się kryje; jako pierwszą zasadę wpajać w ich dzieci przekonanie, że „każdy jest szlachetny“, a nie, że „wszyscy tutaj niegodnymi jesteśmy grzesznikami“.

PRZYCIĄGAJĄCA SIŁA DUCHA

Człowiek może osiągnąć taki stan duchowy, który — byle go umiał utrzymać na stałe — musi mu dać majątek, zdolności, zdrowie, szczęście.

Jest to stan łagodności, ale zarazem i zdecydowania, pewności siebie, panowania nad sobą, lecz i pogody ducha — przytem stan wytrwałości w zdążaniu do celu, mającego bezwzględnie wyjść na dobre przedewszystkiem innym, a następnie i nam samym.

A jest też i inny stan umysłu, który, gdy w nas się na dłużej utrwali, musi pozbawiać nas zdrowia i szczęścia, musi czynić złudzeniem wszystko, co nam wywalczą zapał nasz i talent.

Tylko minimalna cząstka wszystkiego istniejącego we wszechświecie może być widziana, słyszana, dotykana — słowem, ujęta za pomocą pięciu prostackich naszych zmysłów. Bytują po za temi rzeczami zmysłowemi delikatniejsze emanacje istnień: aura minerałów, roślin, zwierząt, ludzi; obecność tych emanacyj odczuwamy instynktownie,

jako działanie zbawienne czyli sympatję, lub jako awersję, czyli bezwiedną odrazę.

O wiele wyżej nad emanacjami temi i odczuciami stoją funkcje takie, jak inteligencja, jak czyny duchowe; i te funkcje tworzą niejako continuum eteryczne, posiadające ośrodki skupienia, miejsca wysokiego lub niższego ciśnienia duchowego, strefy błogiej ciszy i orgjastycznych huraganów, — albowiem wszystko pomyślane lub odczute JEST, istnieje realnie.

Chemja i fizyka nasza nie znają dotychczas tak subtelnych odczynników i narzędzi, aby zdołały przetransponować, albo lepiej będzie powiedzieć: zredukować do poziomu pięciu zmysłów wszystkie zdarzenia z eteru duchowego, i zresztą nie jest to bodaj potrzebne ani pożądane, bo przecież my sami tem wszystkim jesteśmy. Gnóti seautón: poznaj samego siebie: zamiast ulepszać delikatne, lecz martwe instrumenty, ulepszaj i oczyszczaj swe zmysły wewnętrzne, aby świat, dostępny twojemu poznaniu, wrósł całkowicie w świat twego działania.

Stan, dziś istniejący, jest dziwny i przykry: działania, których ani się nie zna, ani się ich wywierać nie zamierza, ani się nad niemi zresztą zgoła nie panuje, jest się jednak zmuszonym wysyłać nieustannie, jak plemniki, w wielkie i nieznane łono

eteru, skąd one następnie, dojrzawszy i wyrósłszy na Bóg wie jakie twory, mogą znów zniemacka wpaść w pierwszej lepszej chwili do świata, dostępnego naszemu poznaniu.

Gdybyśmy nie byli tak nierównomiernie rozwinięci, jak jeszcze dziś jesteśmy, mielibyśmy wolny dostęp do wszystkiego, co realne w świecie działań; moglibyśmy wówczas przepowiadać przyszłość, i nie byłoby w tem nic dziwnego, podobnie jak jest rzeczą zupełnie naturalną, że człowiek, który wygląda przez otwarte okno przy zbiegu kilku ulic, „przepowiada“ zderzenie się dwu pojazdów, którego nie przewidują ani pędzący na siebie woźnice, ani osoby w pokojach wewnętrznych, przez okna nie patrzące.

W miarę, jak przez dążenia, poszukiwania i pragnienia nasze potęguje się w nas intuicja (otwiera sobie okna), objawia nam się coraz więcej tego rodzaju realności. Stwarzamy zawsze wszystko, cokolwiek myślimy. Wiedz, że myśląc, wytwarzasz bez przerwy rzeczywistość. Co przez sekundę myślisz, to przez tę sekundę posiada realność. A to, co myślisz przez dni, godziny, lata, będzie musiało zjawić ci się w końcu w świecie materialnym, jako że mocne stało się i ciężkie od twego fluidu.

Wszystko, cokolwiek myślisz, przyciąga ku sobie zawsze z niewidzialnego świata rzeczy do siebie

podobne. Wystarczy, abyś skupił myśli na jakiejś zbrodni, a różne zbrodnicze formy rzeczywistości ściągniesz ku sobie przez to z ciemnych regionów bytu. I dopiero one — dopiero te ukryte, niewidzialne siły stworzą dla ciebie — po jasnej, widzialnej stronie egzystencji — materialne warunki zbrodni.

Jeśli co rano z chciwością czytujesz w codziennej swej gazecie opisy zabójstw, włamań, skandali i wogóle wszelakich okropności na lądzie i morzu, przyciągasz ku sobie tego samego rodzaju rzeczy niewidzialne; wchodzisz przez to w stosunki ze zdarzeniami duchowymi niższego rzędu i niemi przepojony, nastawiony w tym samym co one kierunku, stajesz się też dostępniejszy dla ich oddziaływania w świecie materialnym. Zwiększa się przez to prawdopodobieństwo, że i ciebie coś spotka z tej sfery okropności, zwłaszcza jeśli rok rocznie, czy zimą czy latem, podczas jedzenia (i to już odrazu przy pierwszym śniadaniu) — a więc w stanie odbiorczej bierności — poddajesz się tym wpływom. Może bowiem nie jest to aż takim znów „przeżytkiem“, jak przypuszcza na cztery nogi kuty biały barbarzyńca, że „dziecinne“, jego zdaniem, a tak pełne uczucia ludy Wschodu rozpoczynają dzień od porannego hymnu do słońca, lub poświęcają rano na modlitewne „Om mani padme hum“ — z a-

miast się zaczytywać „Błotnikiem codziennym“.

Wszystko jest prądem rzeczywistości w świecie Niewidzialnego. W potok rzeczy okropnych i ordynaryjnych — rzeczy niższego rzędu — dostaje się każdy, kto się w nie zagłębia chociażby tylko myślą, chociażby jedynie jako słuchacz, zainteresowany i przyjemnie, leciutko podniecony w tem błędnem przekonaniu, że przecież on jest zdala, „poza niebezpieczeństwem“. A tymczasem już sama myśl jego wystarczyła, aby nawiązać z temi zjawiskami kontakt, i przez otwartą służę płyną do jego duszy pierwiastki zła i zbrodni.

Kto lubi czytywać o kradzieżach, włamaniach i napadach, tego mieszkanie prędeż od innych zostanie okradzione, a on napadnięty. On i złoczyńca zejdą się, bo obydwa płyną w tym samym prądzie myśli, jakkolwiek żaden z nich nie uświadamia sobie, jaka to jest siła, co ich ku sobie sprowadza. A wiadomo, że nie ma siły potężniejszej i bardziej nieodpartej, niż właśnie ta, o której działaniu — ba! o której istnieniu nawet — nic nie wiemy; bo wtedy poprostu nie może przyjść nam na myśl, że powinniśmy jej się przeciwstawić.

Kto przez dziesięć sekund wyobraża sobie coś

okropnego i odrażającego — coś, co komu innemu ma sprawić ból albo napełnić go rozpaczą, ten wprowadził w ruch siłę, która te okropności, bodajby w drobnej części, i na niego samego również ściągnąć musi.

Kto przez dziesięć sekund wyobraża sobie coś przyjemnego, miłego i słodkiego, co komu innemu radość bez cienia goryczy ma sprawić, ten wprowadził w ruch siłę, która te przyjemności, bodajby w drobnej części, i ku niemu ściągnie.

Im dłużej kto skierowuje ducha ku jakiemuś — dobremu czy złemu — przedmiotowi, tem bardziej wzmacnia on i potęguje niewidzialną tego przedmiotu rzeczywistość. W końcu przedmiot, zrazu jedynie myślany, przez to, że ciągle podsyca się go nową substancją duchową, musi dojrzeć do tego, że stanie się czynnikiem smutku lub radości również i w świecie widzialnym, jako że świat „widzialny“ to tylko najwyższy stopień zgęszczenia „niewidzialnego“ świata.

Niezbyt to częsty w naszych czasach objaw, aby kto potrafił świadomie, z własnej woli kierować niezmiennie ducha ku jakiemuś jednemu celowi, aby umiał przez czas dowolnie długi utrzymać w sobie jakiś jeden świadomie obrany nastrój, na przykład, pogodnej stanowczości. O czemże to na ogół myśli olbrzymia większość ludzi dookoła? O tem, by pensję dostać większą, albo gdzie lepsze

piwo, gdzie mile spędzić wieczór. A kobiety wiecznie tylko polują na coś: na nowy dziennik mód lub na krawcową, na partyjkę bridge'a albo na wybieczkę... Zawsze są czemś zajęte „w braku czegoś lepszego“ — wciąż „*faute de mieux*“ coś robią... Tak przynajmniej wygląda u nich pierwszy plan życia — główny; a na drugim, w głębi, snują się w nich niejasne jakieś, nieokreślone dążenia erotyczne — nigdy nie dosyć silne, aby zmusić kobietę do stanowczego kroku w życiu... Ot, byle dni przewlekać — ranki i poobiedzia, które jakoś powoli udaje im się zepchnąć, spędzić bez zbytnej nudy.¹

A są też i takie — i tacy, dodajmy — którychby się chciało porównać do małp w klatce: skacze to nagle z warjacką chciwością na jakiś odpadek, licho wie po co, na co — szarpie — kawalek tu — rzuca — kawalek tam znowu — i znów rzuca!... Tygrysim skokiem dopada nagle kąta, gdzie nic zgoła niema — zaczyna gonić w kółko, namiętnie, własny ogon — niespodziewanie ukąsi w kark któregoś ze swych towarzyszy, na stronie siedzącego...

¹ Autor ma tu na myśli, oczywiście, kobiety amerykańskie, których dotychczas jest w Stanach Zjednoczonych mniej, niż mężczyzn, a przeto są one, w porównaniu z Europejkami, uprzywilejowane i nie potrzebują tak często, jak one, ciężko o byt walczyć.

A wszystko to z rozpędem, z rozmachem, z zapałem — tylko bez żadnego, zgoła żadnego rezultatu.

Wyższe, górne prądy niewidzialnego świata pełne są rzeczy jasnych, miłych i łagodnych, będących odpowiednikami wszystkich wartości i dóbr ziemskich, a ponadto takich, których nie oglądało jeszcze żadne ziemskie oko. Gdy ludzie raz nareszcie nauczą się ufać tym wyższym formom rzeczywistości i wchodzić z niemi w styczność za pomocą środka tak prostego, jakim jest nastrój, wówczas nie będą już więcej ani chętni, ani nawet zdolni do odwracania myśli od jasnej strony życia.

Zrozumięją wówczas, jak coraz łatwiejszem staje się i coraz mniej wymaga trudu utrzymanie właściwego kierunku w dobroczynnym prądzie, skoro się raz już stanie na jego poziomie, skoro odbiorcy ludzkiemu uda się nastawić na tę potrzebną tutaj długość fali, której nie zdoła mu już pokrzyżować żadna gmatwanina prądów niższego rzędu; gdy wzniesie się wysoko tak, że dostępny będzie dla oddziaływań tylko istot sobie równych!

Ten, dla kogo drugą stało się naturą, albo lepiej będzie rzec „pierwszą naturą“ — życie w tej wyższej dziedzinie istnienia, życie rozpromienione całe wewnętrzną słoneczno-

ścią, ten sam przez się zdobędzie też zdrowie i dobrobyt. O tym nie będzie można mówić, że jest wesół, radosny i pogodny, bo mu się dobrze dzieje, ale przeciwnie, dzieje mu się dobrze właśnie dlatego, że jest pogodny i radosny.

O wszelkiem złem tak tylko długo pamiętać trzeba, póki jest to konieczne, aby je wypłenić; któżby tu zresztą zechciał dłużej przebywać w lochu kanałów piwnicznych, niż wystarczy, aby dokładnie oczyścić biegnące tamtędy przewody elektryczne? Ostatni katar, ostatnie stłuczenie, ostatnia krzywda, któregośmy doznali, powinny jak najprędzej zniknąć w pamięci naszej, a nie — żebyśmy mieli wciąż je odnowa galwanizować i powoływać do pozornego życia przez ciągle myślenie o nich, przeżywanie ich i skargi na nie przy każdej sposobności. Piękne zaimki dzierżawcze przed niedomaganiami w rodzaju: mój katar, moje łamanie w kościach, mój artretyzm, powinny zniknąć nie tylko z języka, z mowy, lecz i ze świadomości.

Ta ciągła gadanina i przemyśliwanie o nędzy, ułomnościach i przestępstwach umniejsza w nas tylko zdolność przyciągania ku sobie rzeczy dobrych — jest to bezwzględnie niezawodny sposób na wykradanie pieniędzy z własnej kieszeni i zdrowia z własnego organizmu.

Dobre samopoczucie może się potęgować niemal nieograniczenie w człowieku, który się otacza — jeśli

nie w rzeczywistości, to chociaż w wyobraźni — rzeczami zdrowymi i silnymi, wolnymi, młodeymi zwierzętami, lasem, łąkami, morzem. Jeśli kto nie jest w tem szczęśliwym położeniu, aby móc mieć dokoła siebie za przyjaciół psy, sarny, piękne ptaki, to niechże chociaż w myślach przebywa między niemi. Kto przygnębionym i słabym się czuje, a miasta opuścić nie może, ten niech chociaż myślą pogrąży się w burzy potężnej i wichrze — lub niech do cyrku idzie, niechaj się rozkoszuje widokiem tego, do czego są zdolni akrobaci, kłowni, żonglerzy, piękne tresowane konie; niech obserwuje, jak w tej atmosferze rozkwitu fizycznego troski znikają mimowoli z twarzy zaciękwionych widzów.

To, co nazywamy tutaj „siłą przyciągającą ducha“, nie jest bynajmniej tęsknotą ku czemuś, bo w tęsknocie mieści się zawsze niecierpliwość, tęsknota to cierpienie; niecierpliwość zaś albo odpędza od nas to, czego pragniemy, albo conajmniej opóźnia jego przyjście. Gdy myśl twa biegnie mniej więcej takim torem: „Chcę to mieć tutaj, zaraz, w tej chwili, natychmiast!... Ah, to wieczne czekanie, jak ono mi obrzydło... Mam go już dość — stanowczo!... Teraz albo nigdy!...“ — o, to wtedy jesteś w nastroju niewłaściwym. Wtedy trwonisz siły na sprzeczki i kłótnie z losem, wyrzucając mu, że pragnienia

twoje nie ziszczają się, i nadajesz siłom w sobie kierunek zgoła nieodpowiedni: wzmacniasz nie pragnienia swoje, jak to być powinno, lecz myślisz o nieistnieniu tego, czego pragniesz, a wskutek tego nieistnienie owo tylko tem mocniej utwierdzasz.

Nigdy się nie rozżaluj — nigdy nie trawij serca w sobie niecierpliwem wyczekiwaniem na coś! Błędne i szkodliwe te nastroje są zupełnie tem samem, co jakby ktoś z wściekłości chciał rozbić swój pojazd za to, że ugrzązł w błocie; czyż nie lepiej tę siłę, na wściekłość marnowaną, obrócić na wyciągnięcie wozu?

Kto uniknął szczęśliwie tęsknoty niszczycielki, niechże nie wpada w inny błąd bardzo naturalny: niechaj oczyma ducha nie ogląda siebie u wymarzonego celu i w upragnionej sytuacji, że tak powiemy, jedynie zewnętrznie, płasko, jako obraz i nic, tylko obraz, bodajby idealny.

Przypuśćmy, że ktoś życzy sobie posiadać na własność piękny dom i mieszkać w nim z istotą ukochaną; nic mu to nie pomoże, jeśli bę-

dzie oglądał siebie w tym domu i swe życie, przeciągające, jak na filmie, przed wzrokiem jego duszy. Nie wolno mu patrzeć na siebie samego tylko zzewnątrz, widzieć siebie nakształt odbicia w zwierciadle — musi się znaleźć wewnątrz, niejako w samym rdzeniu swego spodziewanego „ja”; w przeciwnym razie pozostanie zawsze tylko swym własnym widzem. Istotna, wewnętrzna siła ducha, ujęta w słowa, takby mniej więcej brzmieć powinna: „Moje radosne i czyste istnienie ma się uzupełnić jeszcze i temi rzeczami. Takiego domu, takiej drogiej duszy ludzkiej trzeba mi koło mnie, i mieć je będę, muszę! jeżeli tylko wola, mędrsza od mojej, uzna, że tak być powinno“.

Aby cel osiągnąć, konieczny jest potemu taki oto stan serca: nawskróś pozytywny, ale zarazem łagodny i spokojny — słoneczny, lecz przytem i stanowczy. Nigdy zaś — wątpiący, niecierpliwy, spazmatyczny ani roztęskniony. Chcąc podtrzymać w sobie ten właściwy nastrój, przyciągający dobre wpływy ducha, nie jest wcale konieczne, ni nawet pożądane — mieć wciąż na myśli to, czego się pragnie. Powodzenie, piękno i radość spływają na nas, przyciągane jedynie przez ogólne nastawienie ducha, ciągle zaś

i nieustanne myślenie o upragnionej rzeczy bynajmniej im nie sprzyja.

Jeżeli tylko zdołasz ugruntować w swem sercu ten właściwy nastrój i jeśli przytem umiesz zupełnie spokojnie powiedzieć sobie od wewnątrz, dajmy na to: „Odbędę tę podróż — zobaczę te cudowne podzwrotnikowe kraje“, lub coś podobnego, to możesz śmiało zapomnieć na czas jakiś o tym swoim celu, możesz zajmować się czem innem i w innych dziedzinach dodatnie osiągać wyniki, a nie opóźnisz przez to ani trochę działania tej siły, która cię wyprawi w twą upragnioną podróż dookoła świata. Tylko za każdym razem, gdy znowu się odezwie w tobie to pragnienie widzenia obcych krain, łącz je zawsze odnowa z nastrojem niewzruszonej pewności postanowienia swego.

Zawieszaj za każdym razem twe pragnienie, jak na szkarłatnym sznurze, na zasadniczo pogodnym nastroju twego serca.

Nie należy natomiast nigdy tak postępować, aby co kwadrans albo co godzina, albo choćby raz na dzień, podrywać się nagle, jak człowiek zniecka przez żmiję ukąszony, i oczy uporczywie wybałuszyszy w próżnię, wrzeszczeć rozkazująco swe życzenia do Nieskończonej Świadomości, jak polecenie na giełdę przez telefon, — aby za chwilę

znowu podjąć przerwane na moment certowanie się z kucharką, stróżem, lub dostawcą węgla.

Przez drażliwość umniejszasz w sobie siłę, przyciągając dobro; umniejszasz ją również, jeśli pozwalasz sobie czuć się przygnębnym, lub mieć poczucie zależności. Siła ta działa wówczas w kierunku odwrotnym, ku złej się zwraca stronie. Równie źle działa też na nią wszelki niepokój i dygota nie nerwów.

Nie należy też nigdy nikomu zazdrościć ani pożądać cudzej własności — nabijać sobie głowy podstępami zamiarami wyludzenia spadku — hodować w duszy troski lub broń Boże! zawiść i nienawiść ku tym, o których w testamencie więcej pamiętano — spoglądać z zachłanną chciwością na cudze dobro — czepiać się poły ludzi bogatych w nadziei, że coś nam z tego przyjdzie. Wszystko to tylko wzmacnia w nas te stany ducha, które przeszkadzają naszemu łączeniu się z największą przyciągającą siłą. Spychają nas one w łożysko myśli ciasnych, gminnych i przyziemnych.

Ze stratą dla ciebie będzie również, gdy dasz się wciągnąć w kłótlive uprzedzenia i właśnie między ludźmi, gdy choć w głębi duszy będziesz brał, jako strona, udział w głupich poswarkach „Wiel-zuwiel’ów“.

Ubywa ci na wadze duchowej, na mocy, jeśli

się wdajesz w jakieś rozmowy z osobami, stojącymi na niższym od ciebie poziomie, choćby nawet przewaga twoja pozwoliła ci przytem na łatwe triumfy. Tracisz tę siłę również, wdając się — choćby w najdowcipniejszy sposób — w obgadywanie cudzych spraw lub charakterów, ponieważ wówczas wydajesz i wysyłasz z siebie siły mentalne, które ci przeszkadzają, a nawet wręcz przeciwstawiają się powstawaniu w tobie owego innego, o wiele potężniejszego stanowiska wobec bliźnich: nie dają ci wyłonić z siebie emanacji, zmierzającej wprost do najlepszych pierwiastków w ich duszach, pozostawiając po za sobą hen! w dole wszystko inne... Wszak chodzi zawsze tylko o styczność rdzenia naszej duszy z rdzeniem duszy innych. Gdy to się osiągnie, ignoruje się wtedy, o ile tylko można, myśli „kochanych bliźnich“, mówi się jak najmniej z nimi i o nich — odgradza się od nich i zastawia przed nimi tarczą dobrej woli — zwalcza się w sobie najłżejszy nawet cień pogardy, oburzenia albo nienawiści, któryby mógł służyć za pośrednika między nami, a ogółem ludzi takich, jakimi są dzisiaj. Albowiem pośrednik ten mógłby nam przynosić jedynie ich zawistną niechęć, ich zaciętą i fana-

tyczną złość przeciw człowiekowi wytworniejszemu, delikatniejszemu, którego i tak „kochani bliźni“ zwierzają zdala, nawet w jego kryjówce i odosobnieniu.

Wystarczy, aby ten człowiek lepszy przerzucił tylko linę swej nienawiści na brzeg bliźnich swoich, a wnet zgubiony będzie. Jedynie mur z czynnej dla ludzi życzliwości zdolny jest izolować od nich w dostatecznej mierze jego czystą duszę.

Sił ci potrzeba, abyś mógł osiągnąć i zdrowie najtęższe i największe powodzenie materialne — byś zdołał wrosnąć w bezkres duchowych możliwości! A nic tak pod wszelkimi względami nie osłabia, jak zniżanie się do małostkowości i nieżyczliwości. Wchodzi się przez nie do sfery złej krwi, niepowodzeń, chybionych zamierzeń, i poprostu porasta się słabością na podobieństwo wielu dzisiejszych ludzi, którzy skłonni są przypisywać swój nędzny stan zdrowia i wieczne swe niepowodzenie raczej wszystkiemu innemu, tylko nie istotnej ich przyczynie. Trzymaj się przeto, jak możesz, najdalej od osób, które łatwo poddają się wpływowi, które nie znają miary, od osób niepewnych swego celu, a utrzymasz swą siłę przyciągającą w doskonałej formie, niezmałą i nie-

rozcieńczoną przez żadne niespokojne, zbląkane fluidy.

A gdy zetknięcia się z takimi osobami niepożądanymi żadną miarą uniknąć nie możesz, to zgóry się przedtem nastrój pozytywnie, czyli wysyłając, nie pochłaniając w stosunku do promieni eteru myślowego — zgóry postanów sobie w duszy, że nic ze złego otoczenia do wnętrza swojego nie wpuścisz; bo gdy tylko za swoje w jakikolwiek sposób uznasz te ich małe troski, twa siła przyciągająca zmieni się na wprost przeciwną, jako że będziesz wbiarał w siebie ich defekty, mieszał swą ufność z ich niewiarą. I wahaniami ich zarazisz swą stanowczość.

Nie bądź nigdy niewolnikiem motłochu pod żadną jego postacią: ani motłochu ulicznego, ani eleganckiego, ani umysłowego, ani rządzącego motłochu władców.

Zwierzaj się ze swych myśli tylko prawdziwym przyjaciółom — czyli może jednej osobie na świecie, a prawdopodobnie żadnej... Tylko ten, kto nie żywiąc ku tobie zazdrości, twój jego dobra pragnie, a nie swych własnych o twym pożytku wyobrażeń (błąd wielu rodziców), jest ci istotnie pomocnym, ale też zato wówczas w bardzo wysokim stopniu.

Jeśli kto umie zachować tajemnicę, powiększa przez to ogromnie jej moc przyciągającą. Bo ściany mają uszy — i nawet bardzo długie. Twe tajemnice, wymykając ci się, idą do eteru — uzewnętrzniają się — mówi „się“ o nich wokół, nawet jeżeli niema w pobliżu nikogo. Jeśli chcesz całkowicie dochować tajemnicy, to zapomnij o niej — pozwól, by jak najbardziej zbladła w twojej świadomości — przypominaj sobie o niej tylko w razie potrzeby absolutnie nie do uniknięcia — nie igraj nią w myślach. Wszystko bowiem, co myślisz, to zarazem czynisz i niejako stawiasz chwilowo pozewnątrz siebie, w substancji dla wszystkich dostępnej. A wtedy, kto wie, myśl twoja popłynie może z prądem eteru do cudzego mózgu, wyłoni się w nim, jako przelotne przeczucie, jako podejrzenie, i może nawet stać się pewnością w cudzej głowie, gdy swoim wiecznym powtarzaniem jej będziesz jej dopomagał do osiągnięcia stanu dojrzałości.

Ta okoliczność tłumaczy nam nawet, dlaczego to częstokroć już nadługo przedtem, nim dwoje zakochanych zacznie żyć z sobą *de facto*, ludzie, niekiedy całkowicie obcy, uporczywie już to utrzymują; tego częstego faktu nie da się sprowadzić całkowicie do pospolitego plotkarstwa — wszak rdzeń duchowy dwojga ludzi, jeszcze płciowo nie połą-

czonych, lecz już zakochanych w sobie, niczem nie zajmuje się w myślach częściej, jak właśnie pragnieniem tego połączenia; a czyni to świadomie albo nieświadomie, na jawie i we śnie, chociażby nawet tacy zakochani żyli od siebie zdala, i, powierzchownie biorąc rzeczy, zwaśnieni z sobą byli i jedno dla drugiego usposobieni wrogo.

Warunkiem wszelkiego wielkiego powodzenia jest dochowanie sekretu; gdy bowiem rzecz się wyda, przeciwko siłom przyciągającym zaczyna działać natychmiast świadoma czy bezwiedna niechęć, która na to tylko czeka, by spenetrować, w jakim ma zwrócić się kierunku. Tysiące ludzi zmarnowało szczęście przez tego rodzaju przedwczesną otwartość.

Dalej, aby wyrobić w sobie ten najpotężniejszy stan ducha, potrzebne jest też umiarkowanie w przejawach doznawanych wzruszeń. Należy unikać wszelkiego rodzaju ascezy, nie wyrzekać się niczego, wyrzeczenie bowiem podtrzymuje w nas wieczną tęsknotę ku temu, czego sobie odmawiamy; a ta tęsknota odciąga oczywiście siły nasze od pierwotnego celu, dla którego osiągnięcia właśnie podjęliśmy ascezę.

Gdy nagabuje cię coś dręczącego, postanów sobie, że dręczyć się nie pozwolisz — uczyni swą duszę pustą, niech dolegająca ci myśl tak przez nią przeleci, jak przez mgłę

ciężki kamień; niezauważona, niech przemknie i zniknie. Już samo postanowienie z twojej strony, że tak właśnie będzie, zwiększy siłę przyciągającą w tobie. Kto posiada skłonność do poddawania się biernie udrękom, ten tylko potęguje ich siłę dręczącą i formalnie sam je na sobie sprawdza. Wyższego typu człowieka rasy białej poprostu po tem dzisiaj się poznaje, że coś mu wciąż dolega. I właściwie dolega mu słusznie. Wobec rozpaczliwie niskiego poziomu rzeczywistości wzrokowej i wogóle zmysłowej, na którym stoi Zachód, już każdy przeciętny nasz pokój mieszkalny musi budzić tysiące dreszczy obrzydzenia w oku. Czy jednak jest to mądre, gdy sobie samemu dowodzi się swojej wyższości nad plebsem o duszach ociążałych i w mroku tonących wyłącznie przez wieczne swoje złe samopoczucie?

Człowieka wyższego cechować powinna właśnie umiejętność czynienia subtelnych spostrzeżeń, gdy potrzeba, ale gdy potrzeba, to i niedostrzegania.

Nie o to oczywiście chodzi, aby się stać nieczułym, lecz aby rozwinąć w sobie organ wewnętrznej

nej odporności. Postępuj, jak natura: ta się postarała, abyśmy mogli unikać najpospolitszych krzywd dla oczu przez zamykanie powiek; a ty ją uzupełniaj i, mówiąc obrazowo, zamykaj powieki twych uszu. Izoluj w miarę potrzeby zmysł smaku, zmysł dotyku! Wszystko to pójdzie ci o wiele łatwiej, niżby się zdawać mogło, byleby tylko przewyciężyć rozkoszowanie się własnymi udręczeniami estetycznymi i próżność, z niem związaną. Opieraj się ty djabłu, a i on będzie również przed tobą uciekał.

„Zły“ gnieździ się częstokroć nader osobliwie! Siedzi w skrzypiących ramach okien, w rozeschniętych szufladach (jeden z jego patentowanych wynalazków), w smakowitem mlaskaniu wargami przez drogiego naszego bliźniego przy jedzeniu — a jest też i w pogodzie. Kto raz się przyzwyczaił, że jest mu to „za zimno“, a to znów „za gorąco“, to „za wietrzno“, a to „za wilgotno“, ten w końcu zawsze jakieś „zanadto“ sobie znajdzie.

I właśnie człowiek wyższy bywa o wiele łatwiej od innych narażony na niebezpieczeństwo stania się z własnej winy jednym pęczkiem idjo-synkrazyj.

Jakaś odrażająca przywara bliźniego, jakaś impertynencja z jego strony lub grubiaństwo, głos

zbyt prostacki albo skrzypiące buty — słowem, trywjalność otoczenia, w którym nam żyć wypada, może stać się dla nas bezapelacyjnie tyranem-drepczykiem, jeśli się kiedykolwiek naprawdę zgodzimy uznać za słuszną — pretensję jej manji wielkości do tego, iż w rzeczy samej może nam ona dokuczyć. Co bowiem nam dokucza, to ma nad nami władzę. Któżby jednak pozwolił jakiemuś chamusiowi panoszyć się nad nami? A przecież to się zdarza, jeśli na przykład chamuś złemi manjerami swemi zdoła wypędzić nas z pokoju, a ON w nim zostanie, albo gdy w jego obecności nie jesteśmy zdolni postępować z innymi uprzejmie jak zwykle; lub gdy ten cymbał zmusi nas do milczenia z irytacji albo, co gorsza, do nagadania mu głupstw.

Nie o to przecież chodzi, aby zatriumfować nad nim i jego brakiem wychowania, lecz aby prze-móc w sobie samych nastrój odczuwania jego obecności, jako czegoś dokuczliwego; i dopiero, gdy go już psychicznie dla się unieszkodliwimy, możemy przystąpić, niejako w maskę gazową uzbrojeni, do dania mu na chłodno słownej lub czynnej lekcji przyzwoitego zachowywania się wobec nas.

Tylko w ten sposób można się uwolnić od natrę-

tów, grubjanów i ludzi uciążliwych. Nie żądamy od nikogo, ani nie twierdzimy, by dało się z dnia na dzień wyzbyć obraźliwości, wrażliwości na impertynencję, albo upodobania w opisach chorobliwych, zamilowania do romansidel z życia detektywów, słowem, do wszystkiego, co zmniejsza „przyciągające siły ducha“. Nic podobnego spodziewać się nie można po żadnej skłonności, której rozwój trwał lata albo może nawet całe uprzednie życie.

Jakiż jest przeto sposób, by taką skłonność zmienić?

Nie należy nigdy próbować działać gwałtem, kurczowo, spazmatycznie. I od swych przywar w myślach odchodzić trzeba zwolna i stopniowo; w przeciwnym razie tuczą się one uwagą, której im udzielamy. Ludzkość jeszcze nigdy nie zachowywała się tak grubjańsko, złośliwie, prostacko i nikczemnie, jak podczas głębokiego swojego „skruszenia“ w epoce chrystjanizmu. Nawet ludzie skądinąd zupełnie przyzwoici, wskutek wyłącznego zaabsorbowania kajaniem się i skruchą za swe rzekome „grzechy“, zmieniali się w kanaje.

Niecierpliwość — to siła, marnowana na petardowe wybuchy gniewu. Niecierpliwienie się, iż pożądaną zmianę w sobie samym nie dosyć szybko udaje ci się przeprowadzić, oznacza zmniejszanie się w tej samej mierze twojej siły przyciągającej.

W ten sposób szkoda wypływa z pobudek zarówno złych, jak dobrych. Albowiem „dobra wola“, w której popełniłszy błąd, następstw jego, niestety, bynajmniej nie usuwa.

Jeżeli pragnienie, wołające w nas o pomoc, pochodzi z wewnętrznej potrzeby naszej, „siły przyciągające“ bardzo się wskutek tego w nas zwiększają. Istnieje przecież ogromna różnica pomiędzy chcieć a potrzebować czegoś. Są tacy, którzy chcą poprostu wszystkiego, co widzą, tymczasem zaledwie bardzo niewiele z tego, czego pragną, byłoby im potrzebne, a jeszcze mniej — niezbędne.

Tem, czego nam najpilniej potrzeba, nie zawsze są rzeczy bliskie i codzienne, jakkolwiek naprzykład ciepłe ubranie w zimie jest niewątpliwie rzeczą pierwszej potrzeby. Istnieje swego rodzaju bardzo głęboki nakaz śmiałych i fantastycznych pragnień! Dopiero bowiem wraz z ich ziszczeniem, osobowość nasza może rozwinąć się aż do końca, a w ich pozornym egoizmie wyzwala się i objawia w nas właśnie pewien czyn, specjalnie nam właściwy, pewna jedyność natury naszej.

Kto więc z takiego najgłębszego nakazu duszy domaga się czegoś — pozornie najdalejszego odeń, najniemożliwszego, ten ma za sobą niesłychaną siłę; mówimy

to jednak zawsze w tem przypuszczeniu, że pragnącemu uda się przetrwać w nastroju słonecznej pewności siebie, pewność ta bowiem jest tu nieodzowna.

Są dwa rodzaje domagania się tego, co dla nas najlepsze. Jeśli nasze „pożądać“ i „muszę mieć“ wyrastają z podłoża despotyzmu i arogancji, mało posiadają one siły dźwigającej, mało duchowej siły pędnej. Ale oddziaływanie pożądań i domagań się naszych staje się nadzwyczaj skuteczne, gdy nastrój nasz przytem da się mniej więcej w takie ująć słowa: „Żądam tej właśnie rzeczy, gdyż tej mi potrzeba; gdyż słusznem jest, by ona moją się właśnie stała; gdyż czuję, że dopiero przez nią i dzięki niej będę mógł rozwinąć całą moją zdolność do dobrego“.

W takim nastroju z miesiąca na miesiąc, z roku na rok trwać trzeba, aż nastrój ten bezwiednym w nas się stanie, aż w krew nam w końcu wejdzie.

Jeśli tylko odczuwasz, że w tem wszystkim, co tu powiedziałem, tkwi bodajby odrobinka prawdy, to już ci zapadło w duszę ziarenko przekonania. To ziarenko, nasionko — ta intuicja czy ta siła — będą teraz za ciebie dla ciebie pracowały — ty sam względnie niewiele masz tu do roboty: potrzebujesz tylko nie przeszkadzać i nie pozwolić, by ci przeszkadzali inni. Będziesz zrazu raczej przeczuwał, niż odczuwał

tendencję do polepszenia się twojej sytuacji — będzie to coś w rodzaju ogólnego rozświecenia się życia, pewne jakgdyby jasnowidztwo w stosunku do niebezpieczeństw; zaczniesz przemijać też w tobie strach, a i upodobanie do rzeczy posępnych i dreszczem przejmujących zmniejszać się będzie w miarę tego, jak uświadamiać sobie będziesz coraz wyraźniej przyjemność i pożytek, płynące z ciągłego podtrzymywania w sobie myśli pogodnych, jasnych i niewinnych.

Podaję tu naturalnie zaledwie schemat tego, co i w jaki sposób myśleć trzeba; ten schemat każdy sam za siebie i dla siebie wypełnić musi możliwie indywidualnie, możliwie całkowicie. Kto tę moc posiada, kto się nauczy zwracać przyciągającą siłę ducha w kierunku właściwym (bo w jakimś kierunku działa ona zawsze), ten po raz pierwszy w życiu może coś nazwać i s t o t n ą s w ą w ł a s n o ś c i ą, której mu nikt już odjąć nie potrafi; nikt też prócz niego samego przeszkodzić już nie zdoła, aby duch rozrastał się w nim odtąd stale i regularnie.

Jest to już jego własność, nie będąca kradzieżą nawet w znaczeniu Proudhonowskiem.

A kiedy raz rozpoczniesz pracować nad sobą w kierunku właściwym, czyli tym, który prowadzi do powodzenia, zdrowia, szczęścia, to już na przyszłość od nikogo zależeć nie będziesz, jak tylko od

siebie samego i Nieskończonej Świadomości. Żadnej już wówczas podpórki nie będziesz potrzebował — uczujesz w sobie siłę do doskonalenia wszystkiego, cokolwiek przedsięweźmiesz. Już się wówczas nie będziesz żenił dla pieniędzy, ani oczekiwał na śmierć bogatych krewnych, ani się czepiał poły możliwych tego świata. Bo i poco zresztą? Ciało twoje wówczas nabierze również wyglądu wdzięczniejszego i stanie się silniejsze, bo oto wstąpisz odtąd w prąd, który jest zdolny wynieść cię całkowicie po za sferę chorób.

Stale trwający spokój i pogoda ducha są dowodem, że siła, o której tu mówimy, podąża w kierunku właściwym. Cierpienie jest błędem.

Od czasu do czasu mogą w twym doskonaleniu się zachodzić przerwy, powstające z zakłóceń w eterze duchowym; siła próbuje wrócić w swe dawne łóżysko, pomna bezwładu dziedzicznego i zastarzałych przyzwyczajzeń — są to nawroty do umysłowości niższego rzędu; lecz z biegiem czasu stawać się one będą coraz rzadsze i trwać coraz krócej, przewyciężane przez wpływy sfer wyższych i najwyższych, zawsze potężniejszych, byleby działaniu ich tutaj raz utorować drogę.

Adept wiedzy Wschodu, fakir indyjski, nie posługuje się również niczem innym, jeno „przyciągającą siłą ducha“, tylko że kieruje ją wyłącznie

ku celom transcendentnym, zaświatowym, obcym ziemskiemu szczęściu. Niepodobny w tem do nas, ludzi z tego świata, którzy pragniemy ducha i jego rozkosz smakować cielesnie, odczuwać szczęście jako obowiązek i hołd mu składać wdziękiem.

Fakiryzm polega całkowicie na gromadzeniu sił przez koncentrację, na docieraniu człowieka do najgłębszych w nim źródeł ducha, jednakże podsycanych zzewnątrz przez milczące potęgi spokoju, niewzruszoności, łagodności i dufności.

W jednej też jeszcze sprawie zbliżamy się wielce do poglądów Wschodu: i dla nas mianowicie tak samo, jak dla Hindusów, nieśmiertelność — w przeciwieństwie do jej pojmowania pospolitego na Zachodzie — oznacza „nietylę niezniszczalność przez śmierć, ile raczej wyzwolenie od konieczności umierania wciąż odnowa“. Fakir stara się ująć od przekleństwa ciągłej reinkarnacji za pomocą refleksji, rozmyślenia — cofa się wgłąb siebie samego aż do bezkształtnej zasady wszystkiego, kształt posiadającego go: do „atmanu“ — „tak aby, gdy ciało przeminie, on go, jak inni ludzie, nie opuścił, ale pozostał, gdzie jest, czem jest i czem był od wieków: prazasadą wszystkiego, dla

której nie istnieją wielość i różnice, która wydaje z siebie, jak śniący widzenia senne, cały ten szeroko przed nią rozpostarty świat nazw i kształtów“ (Vedanta w przekładzie Deussena).

My ze swej strony również nauczamy wyzwolenia z pod klątwy „konieczności ciągłego odnowa umierania“, lecz nie przez zgaszenie przed naszymi oczyma całego świata rzeczy, który nam się jeszcze nie wydaje bynajmniej godnym opuszczenia, przeżytym do końca, ale w którym raczej uczymy się hodować świadomie, za pomocą „przyciągającej siły ducha“ regenerację, czyli odnawianie własnego ciała, zamiast reinkarnacji, czyli wstępowania w inne ciało; regeneracja bowiem stanowi krok niezbędny na drodze duchowo-cielesnego rozwoju świata organicznego. Już i dzisiaj życie, jeśli tylko zaśluguje istotnie na tę nazwę swoją, jest szeregiem odnowień: co siedm lat wszystkie komórki naszego ciała odnawiają się, co siedm lat przywdziewamy na siebie, jeśli tak rzecz można, zupełnie nowe ciało, w siedm lat wydzielamy z siebie całego jednego własnego trupa, a zachowujemy jednak przytem ciągłość świadomości i nic nawet nie zauważamy z tej całej „umieraniny“ naszej — mówimy wciąż,

jak dawniej, o tem samem naszym cielesnym, nie zastanawiając się zgola, że to już jego jakiś trzeci, czwarty czy piąty egzemplarz, któregośmy sobie dostarczyli sami, albo który nam raczej ukształtowała świadomość nasza, który ona zużywa i zużyty raz w raz z siebie zrzuca.

Z wiekiem, na starość te odnowy cielesne stają się coraz mniej doskonałe, nowe komórki powstają opornie, zdegenerowane; jest to następstwo ubocznych produktów przemiany materji — martwe jej odpadki dostają się mianowicie pomiędzy żywe komórki ciała i hamują funkcje tych szlachetnych nosicieli życia. To nie my umieramy — to ciała obce, że się tak wyrażę, „umierają nas“. A te produkty uboczne stanowią tylko dowód, że nie doszliśmy jeszcze do stanu „całkowitego życia“, żeśmy nie umieli jeszcze w zupełności w sobie go „zorganizować“; wskazują one, że jeszcze błędnie w czemś postępujemy, że żyjąc, sami w budujemy błędy do świetlanego, bez reszty żywego naszego organizmu, i dopiero te błędy umożliwiają owe nawroty do rzeczy w nas nieorganicznych (rola zabójczych odpadków), nawroty do tego martwego świata, z któregośmy wyszli. Świat zaś nieorganiczny, będący najniższym stopniem świadomości, nie jest jeszcze zdolny do regeneracji: skała wietrzeje, żela-

zo rdza żżera. Świat organiczny natomiast, wraz z zasadniczą swą własnością: przemianą materji, tworzywa — rozwinał też w sobie i zarodek do nieśmiertelności ciała.

Regeneracja zatem jest to droga do utrwalenia na wieki wieczne wciąż doskonalącego się materialnego ciała naszego, złożonego z komórek, a rosnącego w moc i trwałość wraz z potęgowaniem się i przejawianiem świadomości; reinkarnacja zaś, przeciwnie, oznacza całkowitą utratę ciała, jeszcze niedostatecznie zdolnego do przemian, i stąd mogącego ulec zagładzie; a wraz z utratą ciała oznacza ona również utratę pamięci. Na co się jednak zdadzą nawet tysiące wcieleń (czyli inkarnacji), w których nam braknie ciągłości samowiedzy? Co mi po nieśmiertelności, o której nic nie wiem — która się przeto składa z samych poszczególnych „śmiertelności“? Co mi z tych inkarnacji przyjdzie, skoro moje „ja“, rzekomo w nich tożsame, nie rozpoznaje samo siebie?!

Im słabszy, im bardziej głuchy i stłumiony jest nasz duch żywotny, tem dłuższe okresy upłynąć musiały, zanim przez reinkarnację zdołał on utworzyć sobie cielesnego swego nosiciela, ożywić go i technieniem swem przeniknąć. W miarę, jak duch zyskiwał na sile i na tętnie rytmu życiowego, okre-

sy te skracały się i wynosiły już zaledwie lata, gdy przedtem trwały lat tych setki lub nawet tysiące. Gdy zaś duch dojdzie wreszcie do największego rozkwitu swej potęgi, zacznie się posługiwać już nie reinkarnacją, lecz regeneracją (jak to już obecnie robi w ciągu życia), aby ostatecznie udoskonalić i uwiecznić swe istnienie zmysłowe — ciało. Albowiem trzeba wiedzieć, że pewna siła wysubstelniająca i uduchowiająca od niepamiętnych czasów oddziaływała na naszą planetę i spowodowała na niej tak wielkie metamorfozy, iż wobec nich ogromnie traci na nieprawdopodobieństwie i fantastyczności ta ostatnia przemiana, która nas jeszcze, jak mówimy, czeka: trwała regeneracja komórek bez „atawistycznych nawrotów“ do nieorganicznego odpadków wytwarzania, t. zn. bez podlegania śmierci. Proszę pomyśleć, czym się już tutaj nie stał ten kawałeczek śluzu: orłem, gdy tak wypadło, a kiedyindziej słoniem, albo znowu czemś takim, co IX symfonię stworzyło i „Trystana“.

Ta wysubstelniająca, uduchowiająca, a nieznana siła — do której i biologja ostatnich dziesiątków lat, po załamaniu się darwinizmu, jako neowitalizm, powracać zaczyna — działa w człowieku zupełnie tak samo, jak w całej pozostałej naturze: przemienia go stopniowo z tworu materialnego w twór duchowy — dźwiga go w sze-

regu kolejnych jego istnień z jednego stopnia doskonałości na następny — trzyma dłoń w pogotowiu nowe moce, nowe życie, nowe możliwości bytu... Gdybyż tylko sam człowiek nie był tak uparty, jak cap, tak zawzięty w umieraniu, taki z powołania wstecz-spoglądacz!... Wielka nieznana siła dała mu już dotychczas potężne wynalazki; w odpowiedzi na jego palące potrzeby zewnętrzne oświeciła go, otworzyła mu oczy na możliwość zmechanizowania świata, tak, że zdołał nagle dojrzeć źródła energii ruchu w parze, elektryczności i innych siłach świata fizycznego; a dojrzał je dlatego, że wydało mu się w pewnej chwili koniecznością, wydało mu się poprostu nieodpartym musiem osiąść ruch i siłę do przewyciężenia odległości, i nocy, i zimna. Dopiero uprzytomnienie sobie przezeń tych potrzeb swoich pozwoliło mu „odkryć“ to, co przecież i przedtem, zawsze istniało wokół niego. W ten sposób, za pomocą zmechanizowania świata, człowiek zdołał przemóc zewnętrznie czas i przestrzeń. Dziś pozostaje mu jeszcze tylko zbudzić się do pocucia najgłębszej swojej potrzeby wewnętrznej, aby z pomocą immanentnych prądów fal, z pomocą wibracji i potęg duchowych przewyciężyć również i w sercu swoim czas, noc, i chłód, i zimno.

A kiedy, dzięki „przyciągającej sile ducha“, już i to osiągnie, gdy już znikną stal, para, i prąd elektryczny, wówczas nie będzie potrzebował więcej żadnego wehikułu, żadnej mechanicznej projekcji cielesnych swych narządów, albowiem nowe siły, zrodzone z jego duchowego życia, uczynią dlań zbyt dużą część jego dzisiejszych pomocy materialnych. Człowiek wówczas nietylko, co zechce, robić będzie, ale i sam w sobie, czem zechce, zostanie, jakim chce, takim będzie.

To ciągłe przekształcanie się ciała pochodzić będzie z przemian ducha, z jego wciąż zmiennych stadiów, przyczem przeobrażenia cielesne występować będą tylko i wyłącznie wskutek przeobrażeń ducha, a nie pod wpływem lekarstw jakichś albo eliksirów, lub wogóle zabiegów natury materialnej. Zmieni się oblicze duchowe człowieka, nabierze on samorzutnie zgola nowych przyzwyczajzeń, i na tem cielesna jego nieśmiertelność opierać się będzie — zewnątrz i tylko zewnątrz dać mu jej niepodobna. Wszystkie zewnętrzne sztuczki, kruczki i reformy będą w tym względzie bezskuteczne, dopóki wznoszący się poziom ducha w sposób naturalny nieśmiertelnymi nas nie zrobi. „Duchowe odrodzenie!“ oto, czego ludziom trzeba.

Wszystkie te szkice nie o czem innem przecież

traktują i nic innego nie chcą, jak wskazać ludziom, czem życie naprawdę w przyszłości stać się może i jak pierwiastek myślowy na wyższym stopniu „uduchowienia“ zdolny jest opanować w nas materję, kształtować ją i doskonalić.

Życie i śmierć takie, jak dzisiaj kolejno w świecie organicznym po sobie następują, są również szeregiem pewnych regeneracji, tylko że dzisiejsza metoda, polegająca na „umieraniu“, jest bardzo jeszcze ciężka i niezręczna, nieekonomiczna; możnaby nawet rzec o niej, że stanowi zgola nieelegantkie rozwiązanie problemu przemian. Wszak i jaźń nasza odradza się również, gdy stopniowo porzuca swoje stare ciało, to zużyte narzędzie, organ niezdolny ani odbierać wrażeń, ani im dawać wyraz. Starzec ma tyleż „ducha“, co i człowiek młody, ale duch ten jest, że się tak wyrażę, odcięty od narządów zmysłów, wycofuje się coraz bardziej z ciała, które się stało niezdadne do użytku, zmurszałe i stępiejące, i które duch zamierza wkrótce opuścić całkowicie. A musi i chce to uczynić dlatego, że już nad ciałem panować nie potrafi, że pozwala, aby z roku na rok coraz niższe pierwiastki z ciała jego ku niemu płynęły, wrażenia wciąż te same, zatęchłe i zbutwiałe. Tak mszczą się na nim jego błędne usiłowania do przebudowy ciała z własnych tegoż ekskrementów. To stanowi o procesie

z wyrodnienia życia takiego, jak jest dzisiaj; to jest jedyną przyczyną butwienia w nas zmysłów i w rezultacie — śmierci.

Duch oświecony, mocniejszy i bardziej postępowy, znajdzie drogi i środki, aby ciało nowym przepoić fluidem, tak, aby ono, jako idealny ducha tego nosiciel, tworzyło pośrednika pomiędzy widzialnym światem a niewidzialnym.

Z życiem rozstajemy się przecież nie przez zwykłą utratę fizycznej naszej formy- egzystencji; to prawda — lecz jakiś rodzaj życia jednak istotnie tu tracimy, a, jak powiada Emerson, „w tym rodzaju lepszego nic nie posiadamy“ (*we have nothing better in the same line*).

Przez śmierć tracimy zmysły, które ziemskimi nazywamy. Tracimy zdolność do życia w bliskiej z rzeczami zmysłowymi styczności, a duch odcielesniony prawdopodobnie pełen jest tęsknoty za niemi i usiłuje zachować kontakt z niemi albo na nowo go nawiązać za pośrednictwem ludzi, którzy jeszcze posiadają ciała, a którymi ma możność posługiwać się i oddziaływać na nich. Wszyscy jesteśmy tu zresztą narażeni na takie oddziaływania natury psychicznej — na takie próby gwałcenia nas ze strony niewidzialnego świata.

Odpowiednio do rodzaju naszych własnych dążeń przyciągamy tedy najrozmaitsze wolne psychiki bezcielesne. Kto się odgradza od wszystkiego śmia-

łego i subtelного, a wszystko, co niezwykle, odrzuca bez sprawdzenia, jako „śmieszne bzdury“, ten ściga ku sobie i ośmiela do „opętania“ go duchy tak samo, jak i on prostackie, duchy „nieregenerowane“, które przez podobną, jak jego, ignorancję traciły i tracić musiały i muszą jedno ciało za drugim, aż wreszcie i one wciągnięte zostaną w powszechnego udoskonalenia krąg nieunikniony! Dlaczegożby żyjąca entelechia miała nagle być mądrzejsza po za obrębem ciała, niż kiedy w niem była? Czy złodziej, zdjawszy palto, przestaje być złodziejem? „Pozafjolkowy dudek“ jest tylko sobą i niczem więcej. Bez cielesnych idjotów nie brak również.

Jak wyłożyliśmy to szerzej w szkicu „Tajemnica snu albo nasze podwójne istnienie“, my ludzie dwie posiadamy grupy zmysłów: zmysły cielesne oraz „te subtelniejsze, duchowe, których zaledwie prostackiem odbiciem są wzrok, słuch, dotyk, smak i powonienie takie, jakie znamy z ciała fizycznego“. Na jawie żyjemy zmysłami cielesnemi, we śnie — duchowemi. Dopiero wtedy, gdy te dwa rodzaje życia potrafią, jak należy, wzajemnie się przenikać, i, że się tak wyrażę, odżywiać jedne drugie, powstaje owa idealna wymiana żywotności i uduchowienia, na której i może, i musi wyłącznie spoczywać doskonałość.

Tego rodzaju życie przyszłe polega na tem, aby

móc się posługiwać obu grupami zmysłów jednakowo: zmysłami żywymi tudzież psychicznymi — aby przebywać jednocześnie w obu światach.

„Zapłatą grzechu śmierć jest“, mówi pismo święte. Lecz nam się raczej zdaje, że śmierć jest rezultatem życia niedoskonałego. Organizmy ludzi słabych, pomarszczonych, drżących są ucieleśnioną ignorancją. Ich grzechem to było, że błędnie myśleli; dopiero bowiem z myśli, które do siebie przyciąga, duch buduje swe niematerjalne ciało. A ciało ziemskie jest właśnie materjalnym odpowiednikiem tego ciała duchowego. Gdy duch żyje w błędzie, to błąd ten wrabia, wbudowuje w ciało. Następstwem jest upadek, dekadencja.

Nie znaczy to jednak, abym zamierzał czynić choćby najmniejsze wyrzuty tym, którzy podobnie cierpią. I oni również żyli, wzwyż dążąc do jak największego światła i wiedzy, do jakich byli zdolni. A wraz z rozwojem i ta ich wiedza będzie również wzrastała w tej czy innej formie. Każda z marszczka jest błędem, który się stał widowym. Wszyscy my jesteśmy „portretami Doriana Greya“.

Miłość bliźniego ma źródło swe w poznaniu, że wszyscy ludzie żyją, jak mogą najlepiej, i tylko Nieskończona Świadomość może coś w nich — i w nas — polepszyć. Zostawmy przeto w spokoju błędy innych, z głębi pocucia naszych własnych

braków požądajmy oświecenia i umiejętności dostrzegania naszych błędów i poprawienia się z nich, bo tylko w ten sposób i sobie i innym dopomóc możemy.

Z iluż to i jak różnorodnych substancyj organicznych i uorganizowanych budujemy nasze ciała! Czyż więc duch nasz miałby trzymać się przy życiu tylko tak niewielką liczbą myśli? Czyż miałby wciąż odnowa przeżuwać kilka starych zmurszałych przesądów?...

Prawo wiekuistego życia nie chce podobnych przeżuwań, powtarzań bez końca. Prawo to powiada: nie po to cię stworzono, abyś, jak wahadło, poruszał się wiecznie w tę stronę i z powrotem po tej samej drodze wciąż jednakowych myśli. Nie jest twojem zadaniem, nakształt kamienia przydrożnego, trwać po wieki wieczne bez zmiany i bez ruchu, jako ten oto jakiś John Smith, John Brown, czy inny. Chciałbyś może wieczność całą wypełnić tą twoją John-Smithowością czy John-Brownowością? Nie, mój kochanku, to ci się nie uda! Masz na tym oto odcinku mieć nowego ducha, a na następnym — jeszcze doskonalszego, ze wzmocnionymi władzami percepcji. Za pośrednictwem „przyciągającej siły ducha“ po przez wciąż nowe indywidualności masz życiem swem wzwyż dążyć — móc być na „ja“ z wszystkimi temi wcieleniami —

przez regenerację przeobrażać się w kolejne typy bytowania, coraz to subtelniejsze, coraz to świetlitsze. A gdybyś jeszcze może i potem zapragnął mówić „ja“ do tego pana Johna Smitha czy pana Johna Browna tam hen daleko wtyle, wstecz się wczuwając krok za krokiem w kolejne ogniwa nieprzerwanego łańcucha świadomości, — ha, to cóż, wolna wola... *De gustibus*, jak mówią...

Zregenerowane życie w cielesności jest życiem świadomie spotęgowanem.

Regeneracja oznacza: z każdym nowym dniem budzić się z coraz świeższą zdolnością widzenia wszystkiego zawsze tak, jak po raz pierwszy. Piełgnować troskliwie i rozkoszować się cudem własnego oddechu. Móc siedzieć bez ruchu w ożywionym spokoju i nieustannie się radować. Szeroko otwartym sercem czuć, jak oto żyją dusze strumieni, zwierząt, drzew, kwiatów i wszystkich czystych kształtów Nieskończonej Świadomości. Czuć, jak talenty twoje rosną w tobie aż do genialności. Szaleć z radości, będąc niezachwianie pewnym, iż ma się jeszcze przed sobą wszelkie możliwości nieskończonego dalszego rozwoju, tak że w każdej chwili radość z tego, cośmy już osiągnęli, zlewa się z radością z tego,

czego oczekujemy w jedno wielkie południe bez kresu, bez końca.

Z jeszcze nieosiągniętego dotąd napięcia szczęścia powstanie w nas „magja“. „Magja“ ta — to dziś jeszcze skryta w sercu ludzkim siła wydawania z siebie myśli tak potężnych, że to, czego pragniemy, musi dla nas i przez nas powstać, bo nie może nie wykrystalizować się materialnie z myśli naszych pod postacią gęstszej substancji duchowej, czyli przedmiotów fizycznych. Zachwyt jest czemś substancjalnem: coś nas zachwyca to znaczy wydobywa się ono z nas, jako promienista siła.

Wyciągać z wszystkiego przyjemność dla siebie to to samo, co z wszystkiego wyciągać życie. A umieć wydobyć życie z wszystkich rzeczy tego świata znaczy to rósć w potęgę. Potęga zaś to opamiętanie warunków fizycznych, władza i zachowanie wiecznie odnawianego naszego materialnego ciała.

Nuda jest chorobą. Nudzić się to nie wiedzieć, co ze sobą począć, to beczynnienie wdychać w siebie wciąż odnowa własne swoje ekskrementy myśli, aż wszystko nam się wyda zużyte i płaskie wskutek zatrucia jaźni. Kto stara się czas zabić, ten zabija życie; kto to naprawdę umie, ten zatracił na chwilę łączność z Wielkim Źródłem, styczność z Nieskończoną Świadomością. Ta ci

jest zaiste najcięższa ze wszystkich istniejących chorób.

Stary Salomon nie był mędrce — ani trochę nim nie był, gdy wyrzekł słynne swoje „wszystko jest marnością“. Nie pomoże mieć harem, pełny młodych ciał dziewczęcych — trzeba umieć chłonać w siebie duchowy fluid młodzieńczości, bo tylko to odmładza. Kogo modlitwa i korne oddanie się Nieskończonej Świadomości z Nią złączyły, na tego wszystko żywe będzie wciąż odnowa w odmładzający oddziaływało sposób.

Regeneracja ciała przychodzi też z odwagi! Ryzyko brać na siebie — los swój z ufnością składać całkowicie w ręce Nieskończonej Świadomości! Są tacy, co próbują robić to chwilami; lecz niech się sytuacja odrobinę pogorszy, a znów się uciekają do starych, oklepanych, materialnych sposobów odwracania złego.

Można jednak osiągnąć ufność bez zastrzeżeń, a wraz z nią świat przyczyn i skutków całkiem nowy, inny, nam nieznany. A to gdy się osiągnie, ludzie staną się wówczas czemś więcej, niż zwykłymi tylko śmiertelnikami. Posiadający odwagę do końca zostanie odrodzony.

Ten i ów z czytelników myśli sobie może: Co mnie po tem wszystkim? Może to prawda, a może nieprawda. W każdym razie to rzeczy nazbyt od-

ległe od nas i zbyt nieokreślone. A mnie potrzeba czegoś, co mi dziś pomogło, natychmiast, w tej chwili; bo pojutrze, na przykład, trzeba komorne płacić, a ja tu mam oto usiąść sobie w skupieniu i zacząć się wprawiać w „zostanie nieśmiertelnym“!

A jednak mimo wszystko idea regeneracji jest właśnie już dzisiaj błogosławieństwem dla każdego, kto chce i może bodajby tylko tolerować ją w sobie, jako to żywe i urodzajne ziarno. Ona już sama przez się nigdy w nim nie zginie, lecz raczej działać będzie niezauważana, w jego podświadomości, miesiącami, latami, jak małeńki zarodek błogosławionej magji; i wciąż więcej miejsca będzie zajmowała i przetwarzała przytem łagodnie, bez wstrząśnień sam typ umysłowości jego i, że tak powiemy, samą barwę myśli, aż oto one same przez się nabiorą kiedyś nagle do siebie zaufania, i staną się różowe, i zabarwią w końcu na ten kolor zdarzenia otaczającego świata. Duch bez wysiłku znajdzie się na linii procesu odrodzenia. A już to samo jest dla człowieka czemś tak błogiem i tak dobroczynnem, że posuwanie się po tej drodze staje się z każdym krokiem rosnącą rozkoszą, chociażby to jedno nasze krótkie życie miało nie wystarczyć, by dojrzeć jej koniec. Albowiem cokolwiek spotka nas w tej drodze, stracone nic nie będzie.

SPIS RZECZY:

	str.
Od tłumacza	5
Kłamstwo — źródłem nieszczęścia, prawda darzy zdrowiem	7
Bóg w tobie	36
Prawo powodzenia	61
Jak wyrabiać w sobie odwagę	83
O spirytyzmie	101
Narodziny myśli	125
O wielkiej sztuce zapominania	150
Przyciągająca siła ducha	159

GŁOSY PRASY O KSIĄŻCE MULFORDA „PRZECIW ŚMIERCI“

BOLESŁAW PRUS: Istnieje w polskim tłumaczeniu Stanisława Michalskiego dziwna książka amerykańnika Prentice Mulforda p. t. „Przeciw śmierci“, którą radziłbym parę razy odczytać.
Tygodnik Ilustrowany.

TADEUSZ RITTNER: Przed kilku tygodniami przeczytałem książkę, której zawdzięczam kilka tygodni absolutnej pogody duszy. Postanawiam sobie przeczytać ją niezadługo po raz wtóry i wogóle czytać ją możliwie często — z tą samą korzyścią dla mego humoru i mej energii życiowej.

Książka, która mi daje takie szczęście, ma wartość większą, niż tysiące dzieł „niepozbowionych zalet literackich“.
Kurjer Warszawski.

Inteligentny czytelnik znajdzie mnóstwo powiedzeń, które przemówią odmiennie do każdego, stosownie do upodobań jego indywidualnych, wszyscy zaś bez wyjątku odczuć muszą tchnienie zdrowego i szlachetnego optymizmu jaki się z niej unosi.
Słowo Polskie, Lwów.

W dobrym przekładzie pojawiła się książka amerykańskiego moralisty, który chce ludzi nauczyć żyć. Z różnych książek moralizatorskich, które w ciągu kilku lat ostatnich pojawiły się na rynku książkowym świata, książka Mulforda jest najlepsza.
Myśl Niepodległa.

Książka Mulforda daje dużo chwil dobrych i natchnień czystych — nie przez swą wolę walki ze śmiercią cielesną, ale przez swoją nieświadomioną walkę duchową z ociężałością i bezmyślnością, z lenistwem duchowem, z gnuśnością, ze zniechęceniem i zwątpieniem. I dlatego jest naprawdę książką żywotną.

Dziennik Powszechny.

Cokolwiekbyśmy myśleli o tej idei nieśmiertelności ciała, trzeba pojąć i przyznać, że jest ona na linii dążeń dzisiejszych wynikiem wprost niezbędnym. Wierzyło się dawniej, że duch sam, bez pomocy ciała wszystko może i powinien. Dziś wiemy i uświadamiamy sobie coraz silniej, że człowiek cały musi stanąć do walki, że dzielność, sprawność, doskonałość tego kształtu, który dopiero indywidualność naszą stanowi — są to warunki zdrowego pożądanego zwycięstwa.

Prawda.

01261

BIBLIOTEKA
PARAFIA PW. NSJ
RADOM-GLINICE

110



